Nr. 11 We Lwowie, 1 września 1935 Rok 57



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

WYCHODZI 1-GO i 16-GO KAŻDEGO MIESIĄCA

JAN DROHOJOWSKI.

Polskie ładunki śrutowe

Szanowny autor artykułu z Nr. 1-go „Łowca" z b. r. pod tytułem: „Proch dymny i małodymny pod względem balistycznym", dziwi się dlaczego niektórzy myśliwi wolą obecnie strzelać prochem dymnym?

Otóż myśliwi wolą strzelać prochem czarnym niż bezdymnym, bo obecny proch czarny jest o wiele lepszy niż polskie prochy bezdymne. Bo taki już zwyczaj, że jak kto strzela, to chce trafić i zabić, a mało jest amatorów strzelania na wiwat, myślę naturalnie o myśliwych. Tymczasem całą menażerją obecnych polskich prochów bezdymnych, nie waham się to publicznie powiedzieć, strzela się jeszcze gorzej niż na wiwat, bo kaleczy się i skazuje na okropną powolną śmierć całe masy nieszczęsnej a przeważnie z wielkim trudem wyhodowanej zwierzyny.

Dalej niech mówią fakty:

W roku 1933 w dniach 27 i 28 grudnia polowałem jak zwykle w cztery strzelby w Cieszucinie. U siebie nigdy nie strzelam. Mrozik 3° R., czas idealnie piękny, pierwszy dzień w lesie. Zaraz w pierwszych miotach uderza mnie zły stosunek strzałów do podniesionej zwierzyny, w trzecim miocie, idę na flance z p. S. M. Zaraz na początku miotu wychodzi zając, kroków 30, p. S. M. strzela raz i drugi, porywa zapasową strzelbę i jeszcze dwa strzały, wszystkie cztery celne, leci turzyca, a zając idzie i poszedł, jak to mówią, na dziś dzień; jeszcze 5 zajęcy trafionych jednym lub dwoma strzałami, przepada na tej flance p. M. S. Jak który zając został, to każdego trzeba było dobijać.

W następnym miocie idę z hr. K. Dwa pierwsze zające na początku miotu zostają na miejscu od jednego strzału, ale są strzelane nie dalej jak 20 kroków, żyją jeszcze, gajowy musi je dobijać. Do trzeciego zająca hr. K. strzela na rachowanych 23 kroków, zając który idzie z góry w dół, widać wyraźnie, jak dostaje cały ładunek śrutu w cząber, kniażąc przewraca się i zaczyna tańczyć. Mówię do hr. K.: strzel bo pójdzie, w tej chwili wychodzi inny zając, którego mój gość ostrzeliwuje a postrzelony tymczasem się pozbierał i poszedł. Kilkadziesiąt kroków dalej wychodzi bliziutko zając, hr. K. ruluje go, zając wpada do przydrożnego rowu i zaraz siada, rachuję kroki, 17. Tego zająca oglądam już dokładnie, ma kilkanaście śrutów na łopatce i komorze i jeden oderwany, który złamał stos pacierzowy w polowie grzbietu, zając żył i trzeba go było dobić.

Widząc, co się dzieje po polowaniu, przegoniłem przepolowane mioty. W lesie padło 101 zajęcy, a znaleziono w dwa dni po polowaniu 28, wyraźnie piszę dwadzieścia osiem zajęcy. Jest to procent wprost potworny, a przecież wszystkich nie znaleziono, a coś już zdołano pewnie i ukraść.

Oburzony napisałem artykuł, ale zapomniałem o jednej, bodaj najważniejszej rzeczy, to jest o wysłaniu i artykuł pozostał w biurku. Myślałem, że tymczasem jakość pro-

chu się poprawi. Przyszedł sezon kuropatw, kupiłem na próbę ładunki „Pocisk Darzbór" i te okazały się nie lepsze, bo nawet do luf wchodzić nie chciały, a w sklepie powiedziano mi, że cały transport, kilka tysięcy sztuk był taki; zacząłem strzelać, ale dalej jak na 50 kroków to już trudno coś zabić a kuropatwa, choć czasem spadnie, to tylko zbarczona, a śruty, które w korpus trafiły za skórą siedzą.

Z końcem września przyjechał do mnie na kuropatwy hr. K. i przywiózł „Darzbory". Zwróciłem zaraz uwagę drogiego gościa, że będzie miał przykrość, bo nie chcą do luf wchodzić, ale ta partja jakoś gładko wchodziła; poszliśmy w pole, hr. K. strzelec pierwszorzędny, jakoś strzela i strzela a kury spadać nie chcą, niektóre bliżej strzelane, puszczały nawet pióra, na przestrzeni kilkunastu kroków kiwały się w locie, ale wkrótce wyrównywały lot i spadać stanowczo nie miały ochoty. Po pół godzinie gość mój miał dość tej zabawy i poszliśmy na śniadanie; na 30 strzałów podniesione 4 kuropatwy, które na kilkanaście kroków były strzelane, dalsze choć prawie wszystkie trafione, co z boku patrząc dokładnie widziałem, znaczyły, jednak na troki się nie dostały.

W bierzącym roku polowałem u siebie w pierwszych dniach stycznia a widząc pierwszego dnia w lesie, że zające choć dobrze i blisko strzelane jeszcze idą, a który zostanie w miejscu, to musi być dobity, postanowiłem następnego dnia w polu, z mojej broni parę zajęcy zabić dla dokładnego zbadania efektu strzału. Do próby wziąłem nowy dryling firmy „Nowotny", specjalnie dla mnie zadysponowany, ostrzelany i wykończony przez mistrza p. Lisowskiego w Warszawie. Długość luf 72 cm, kal 16.

Ładunki wziąłem Warszawskiej Spółki Myśliwskiej, proch „Sokół", śrut polski N. 0. Ładunki te koloru ciemno-bordo przez wielu myśliwych były uważane obecnie z wszystkich polskich ładunków za najlepsze.

Zając Nr. 1 strzelany na kulawy sztych, machnął trzy klasyczne kozły i siadł bardzo zdziwiony, próbował uciekać, ale z powodu licznych defektów jakoś biedakowi nie szło, porachowałem kroków 28, trzy śruty poza zającem, reszta w celu a delikwent żyje. Cały kwandrans czekałem napróżno czy zdechnie, kręcił się, wstawał na przód, czołgał się i nie zdychał, nareszcie dostał kijem za słuchy, co dopiero pomogło.

Zając Nr. 2 strzelany na kroków 31, na połeć, został na miejscu i tłukł się przez minut jedenaście i wreszcie rozstał się z życiem bez kija.

Zając Nr. 3 strzelany na połeć na kroków 54, strzału nie zaznaczył, widziałem jednak, że trafiony przez wyraźne drgnięcie skóry na zwierzu; zając ten poszedł około 250 kroków i zaczął kółka robić, złapała go nagonka.

Zając Nr. 4 strzelany na kroków 54 ładunkiem austrjackim Wollersdorf z roku 1914, śrut austrjackiej numeracji Nr. 4, na kulawy sztych, machnął kozła i bez dalszych rekursów przeniósł się w świat lepszy.

Zając Nr. 5 strzelany przedwojennym ładunkiem „Warszawskiej Spółki Myśliwskiej" z roku 1914, ładowany rosyjskim „Sokołem", śrut ówczesnej numeracji rosyjskiej Nr. 1, strzał na połeć, kroków 56, został w ogniu martwy.

Chcąc mieć zupełnie jasny i dokładny obraz krycia strzału i siły przebijania śrutów, naprawiłem zaniedbanie tamtegoroczne i przeprowadziłem dokładną sekcję tych pięciu zajęcy.

Sekcja zająca Nr. 1: Strzelany ładunkiem W. S. M. Proch „Sokół" polski z roku 1934. Śrut Nr. 0. Zając strzelany na 28 kroków na kulawy sztych z prawej strony. Mrozu 5^{0} R. Wydobyłem z zająca 27 śrutów, następująco rozmieszczonych: 3 śruty przebiły słuchy, 2 w głowie, obydwa przebiły skórę i lekko spłaszczyły się na kości czołowej. 5 w prawej łopatce, dwa ugrzęzły w mięśniach, trzy z lekka spłaszczone na kości łopatkowej. 3 w prawej łopatce, dwa spłaszczone na kości, jeden złamał kość. 4 w lewej łapce, kość w dwóch miejscach złamana. 7 w cząbrze, cztery ugrzęzło w mięśniach, dwa spłaszczone na kręgach, jeden wbity głęboko pomiędzy kręgi. Ten śrut uszkodził mlecz pacierzowy, co spowodowało paraliż tyłu zwierzęcia. 1 zlekka spłaszczony na żebrze. 2 w prawem skoku, kość złamana.

Zając Nr. 2: Strzelany tym samym ładunkiem co zając Nr. 1. Odległość 31 kroków, na połeć z lewej strony. Wydobyłem z zająca 28 śrutów, rozmieszczonych następująco: 2 śruty przebiły słuchy, jeden w głowie z lekka spłaszczony na czaszce. 2 w szyi w mięśniach, znaczny wylew wewnętrzny krwi. 5 na lewej łopatce, trzy w mięśniach, jeden spłaszczony na kości łopatkowej, jeden wbity głęboko w łopatkę, łopatka pęknięta. 2 w prawej łapie, kość złamana. 2 w lewej łapie, kość złamana. 9 w komorze, dwa zostały pod skórą, trzy spłaszczone na żebrach, jedno żebro pęknięte, reszta dostała się pomiędzy żebrami do klatki piersiowej, dwa w płucach, wylew krwi w klatce piersiowej znaczny. 5 trafiło w brzuch, dwa ugrzęzły pod skórą, jeden w otrzewnej, dwa dostały się do jamy brzusznej, przebiły kilkakrotnie kiszki i ugrzęzły pod skórą po stronie prawej.

Zając Nr. 3: Strzelany ładunkiem jak zając Nr. 1 i 2. Odległość 54 kroków, na połeć z prawej strony. Wydobyłem z zająca 14 śrutów następująco rozmieszczonych: 4 śruty na prawej łopatce ugrzęzły, dwa za skórą, dwa w mięśniach. 6 na komorze, cztery pod skórą, jeden w mięśniach cząbra, jeden pomiędzy żebrami dostał się do klatki piersiowej, przebił prawy płat płuc i ugrzązł w płucu lewem, znaczny krwotok wewnętrzny. 4 trafiły w brzuch i ugrzęzły pod skórą lub w otrzewnej.

Zając Nr. 4: Strzelany ładunkiem Wöllersdorf. Proch austrjacki Wöllersdorf z 1914 r., śrut Nr. 4. Odległość 54 kroków, na kulawy sztych z prawej strony. Znalazłem w zającu 6 śrutów, następująco rozmieszczonych: 1 w szyi pod skórą po stronie l e w e j, duży wylew wewnętrzny krwi. 1 pomiędzy szyją a łopatką przebił lewy płat płuc i ugrzązł pomiędzy żebrami z l e w e j strony klatki piersiowej. 2 na prawej łopatce, ugrzęzły w kości, łopatka pęknięta. 2 w komorze, oba przebiły prawy płat płuc (jeden musnął serce) i ugrzęzły w płacie lewem, w klatce piersiowej duży wylew krwi.

Zając Nr. 5: Strzelany ładunkiem Warszawskiej Spółki Myśliwskiej przedwojennej. Proch „Sokół" rosyjski z 1914 r. Śrut numeracji rosyjskiej Nr. 1. Odległość 56 kroków, na połeć z prawej strony. Znalazłem w zającu 8 śrutów następująco rozmieszczonych: 2 na prawej łopatce wbite w kość, kość łopatkowa pęknięta. 5 na ko-

morze, trzy przebiły prawy płat płuc i ugrzęzły w płucu lewem, dwa przebiły oba płaty płuc i ugrzęzły pod skórą po stronie l e w e j , jeden z lekka drasnął żebro. 1 w brzuchu, przebił żołądek i ugrzązł pod skórą z l e w e j strony.

Z tych nielicznych przykładów wynikałoby, że prochy polskie dają wielkie zgęszczenie strzału, ale siła przebijania jest niezwykle marna i do zabicia zwierza zupełnie nie wystarczająca. Prochy zaś dawne przedwojenne, dają gorsze krycie strzału, ale mają wielką siłę przebijania, co jest dla myśliwych najważniejsze. Dopiero teraz rozumiem, dlaczego prochy polskie są doskonałe w strzelaniu do krążków, gdzie przecież chodzi o jak największe krycie a siła przebijania stoi na drugiem miejscu a przeciwnie do piór czy sierści, żywa siła pocisku wychodzi na pierwszy plan.

Cała kwestja strzału śrutowego osobiście mnie jako strzelca mało obchodzi, bo od lat kilkunastu do sierści strzelam kulami, amerykańską amunicją, gdyż niemiecka jest znacznie gorsza a obecnie jeszcze bardziej się popsuła. Zabieram tedy głos tylko jako hodowca, który nie może patrzeć na męczarnie postrzelonej zwierzyny z takim trudem i kosztem wyhodowanej. U nas na wszystko jest dwie albo i trzy miary, tak jak rolników podzielono na trzy klasy, tak widać i do zwierzyny stosuje się inną miarę niż do zwierząt domowych. Bo proszę sobie tylko przedstawić, że gdyby w jakiejś rzeźni zarzynano bydło w ten sposób, że ginęłoby dopiero po kilku czy kilkunastu godzinach, co to za krzyk byłby po gazetach a winni, zupełnie słusznie poszliby do kryminału.

Do następnego sezonu jest dość czasu, a Szanowni Koledzy myśliwi powinni raz wziąć na energję i albo państwowe fabryki niech dadzą nam proch dobry, albo rząd zniesie cło od ładunków, względnie prochów zagranicznych, które nietylko że są lepsze ale znacznie tańsze od naszych.

Rozmawiałem z naszymi czołowymi rusznikarzami w Warszawie, Lwowie, Poznaniu i Krakowie i na moje utyskiwania na ładunki śrutowe, wszyscy mieli jedną odpowiedź: wiemy doskonale, że obecne prochy polskie są liche, ale jesteśmy bezradni, przywóz prochu, czy też gotowych ładunków z zagranicy jest absolutnie niemożliwy, musimy więc napełniać naboje prochem krajowym, wiedząc zgóry, że źle obsługujemy naszych gości.

Jeszcze jedno. Byli ludzie w Polsce, którym się zdawało, że jak polskie dziecko zje tanią pomarańczę, to się świat skończy; pomarańcze potaniały i nic się nie skończyło. Tak będzie i z ładunkami, będziemy strzelać doskonałemi i taniemi zagranicznemi ładunkami, a świat zapewne się nie zawali, owszem dopiero wtedy polskim fabrykom zechce się zrobić naprawdę dobry proch, którym z całą przyjemnością będziemy strzelać, łącząc piękne z pożytecznem.

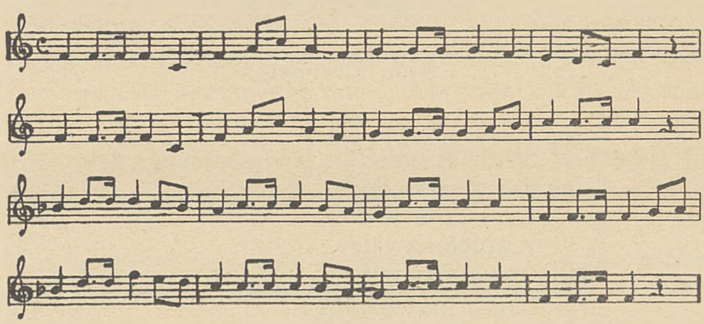
WITOŁD ZIEMBICKI

MYŚLISTWO A MUZYKA

IX.

JESZCZE O T. ZW. „MARSZU SPALSKIM“

Pisząc o „Marszu spalskim“ i o jego pochodzeniu[1]), wyraziłem przekonanie, że strofki, zapamiętane przez starego leśnika ze Spały, są zdeformowanym fragmentem utworu ś. p. Artura Ś l i w i ń s k i e g o, ogłoszonego w „Łowcu“ w r. 1878, pod tytułem „Chór strzelców“. Powtórzyłem przy tej sposobności pełny tekst słowny tego utworu, wraz z świadectwem p. Andrzeja Śliwińskiego, jednego z synów ś. p. autora, stwierdzającem, że jest to utwór oryginalny. Gdy się okazało, że z biegiem czasu, w ustach śpiewających, jak to często bywa, uległ on zmianom, można się było domyślać, że i melodja nie oparła się takiemu procesowi. Dalsze informacje potwierdziły to dowodnie. Oto p. inżynier Tadeusz Śliwiński, również jeden z synów ś. p. Artura, nadesłał mi tekst muzyczny w takiem brzmieniu, w jakiem zachował on się w pamięci rodziny. W porównaniu z tekstem, zapamiętanym przez leśnika ze Spały, wykazuje on dość znaczne różnice. Podaję go więc, jako tekst autentyczny, pielęgnowany przez synów i wnuki ś. p. autora z wielką pieczołowitością:



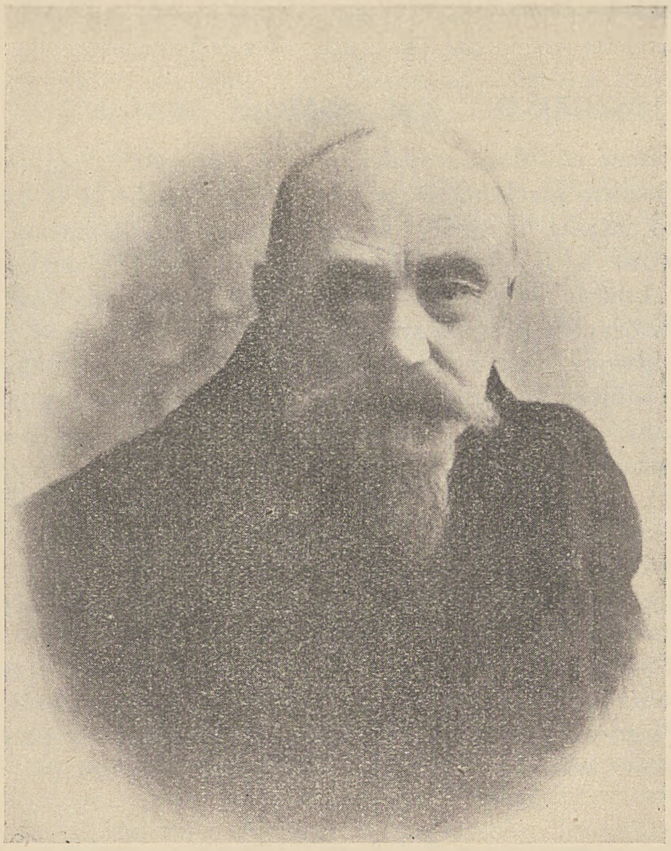
Czy m e l o d j a jest oryginalną kompozycją ś. p. Artura Śliwińskiego, podobnie jak słowa, na to wciąż jeszcze brak odpowiedzi. W każdym razie wiemy już jakie było pierwotne brzmienie „Chóru strzelców“, które poszło w świat i teraz wypłynęło jako „Marsz spalski“. W myśl tego należy skorygować całość, reprodukowaną obecnie na spalskich polowaniach[2]).

Pisałem już, że ś. p. Artur Śliwiński był wzorowym myśliwym i znanym autorem łowieckim. Jako człowiek bardzo ruchliwy i towarzyski, ożywiał w sposób, sobie właściwy, polowania, przez siebie organizowane, dodając im humoru i pogody pod postacią opowiadań i pieśni. Jedną z takich piosenek, napisaną również przez niego i także dotąd śpiewaną w rodzinie, na nutę bliżej mi nie znaną, przytaczam tu wedle tekstu, ogłoszonego wraz z „Chórem strzelców“ w r. 1878 w „Łowcu“. W lekkiej, dowcipnej formie, zawiera ona całą terminologję zajęczą.

[1]) „Łowiec“ 1935, str. 37, w szkicu niniejszej serji Nr. II.

[2]) Wiadomość o przyswojeniu przez orkiestrę tamtejszą muzyki i śpiewu „Marsza spalskiego“ posiadam z Nadleśnictwa państwowego w Glinnej, dzięki uprzejmości p. Nadleśniczego, J. Gomółki. Rzecz została tam, jak wiemy, wprowadzona z inicjatywy Adama hr. Starzeńskiego.

Jest zarazem wesoła i pouczająca: szczegół w wysokim stopniu podnoszący wartość tego rodzaju utworów.



Artur Śliwiński

Śpiew myśliwski o zającu.

Dumając o swej doli,
Usiadł zajączek w roli,
A w utrapień nawale
Takie rozwodzi żale:
Natura innym błoga,
Dla mnie skąpa i sroga.
Dlaczego, nie pojmuję,
Wszystkiego mi brakuje!

Nie mam nóg, tylko skoki,
Kicaniem zwą me kroki,
Myślałby kto, żem głuchy:
Zamiast uszu, mam słuchy.
Za oczy się dostały
Jakieś wytrzeszcza, gały,
Krew mą myśliwi mili
W farbę przeistoczyli.

Turzycą zwą włos długi,
W miejsce zębów, mam strugi,
Domy me, oficyny,
Ponazywali kotliny.
Wszędzie będąc pod strachem,
Samiec zowie się gachem,
A zajęcze zaloty
Zwą się znowu parkoty.

Gdy w rzepaku ja goszczę,
Powiadają, że poszczę,
A jak siedzę pod krzakiem,
Zwą mnie wtedy leżakiem.
Jak po śniegu się włóczę,
Utrzymują, że kluczę,
A gdzie stawiam swe stopy,
Mówią, że to są tropy.

W biegu zawsze tnę susa,
Bo mi przecie brak kłusa,
Skromny jestem, nie tłusty,
Gdy się najem kapusty.
Woły, konie, psy, wrony,
Mają swoje ogony,
Mnie zaś natura wtyka,
Kawałeczek osmyka.

Żywot mój nieszczęśliwy,
Zabija mnie myśliwy,
Nawet lisiura jaka
Pożera nas sobaka.
Słowem wszędzie mi trwoga,
Krzyczą, jak na raroga,
Nawet pastuch-niecnota,
Krzyczy na mnie wciąż: kota!



Artur Śliwiński z synami.
Stoją za nim kolejno: nieżyjący już ś. p. Stefan, z zawodu lekarz; Stanisław, Artur, Tadeusz i Andrzej.

Korzystając z nadesłanych mi przez inż. Tadeusza Śliwińskiego fotografij, reprodukuję tu portret ś. p. Artura, jakoteż zdjęcie, przedstawiające jego wraz z pięciu synami. Niezwykła ta grupa myśliwska pochodzi z przed lat 30-tu, z czasów, kiedy ś. p. Artur Śliwiński był administratorem i pełnomocnikiem w Antoninach[3]).

[3]) Jest mojem zdaniem bardzo możliwe, że „Chór strzelców" Śliwińskiego, był pierwotnie wprowadzony na polowaniach u hr. Józefa Potockiego w Antoninach i że stąd dopiero dostał się na ówczesne polowania dworskie do Spały, gdzie miał być, jak już podałem przedtem, jedyną pieśnią, śpiewaną po polsku.

(C. d. n.)



WŁADYSŁAW GÜRTLER

W obronie życia

Motto:
„Wszyscy w niepewnej gospodzie mieszkamy,
Wszyscyśmy pod tem prawem się zrodzili,
że wszem przygodom za cel służyć mamy"...
(Ze starych pieśni XVI wiaku).

Słowa te dotyczą życia człowieczego, lecz odnieść je można i do całego świata, obejmującego wszystkie organizmy.

Każde bowiem życie, w najszerszem słowa znaczeniu, narażone jest zawsze i zewsząd na najrozmaitsze przygody, z których najsroższą i najbardziej nieubłaganą jest śmierć... Oznacza ona kres ziemskiego bytowania, koniec tego, co wiadome i, jak nam się zdaje, pewne, ona stygmatem swym znaczy wszelkie, do życia rwące się istnienie, w jego najrańszych zaczątkach.

Nic dziwnego, iż temu prawu, będącemu życia zaprzeczeniem, człowiek i zwierzę przeciwstawiają mocny instynkt samozachowawczy.

Znany jest fakt, który każdy, interesujący się przyrodą, snadnie zauważył, iż zwierzęta zarówno w dzikim stanie żyjące, jak i oswojone, przeczuwają często swój zgon, bez względu na to, skąd zamach przyjść może.

Psy np. są szczególniej dysponowane do wyczuwania nieszczęścia, które im grozi. Mam w świeżej jeszcze pamięci wypadek z dawnych lat, bo z czasów mego dziecięctwa.

Ś. p. ojciec mój miał sukę legawą, Ledę, która się oszczeniła, zostawszy matką pięciorga młodych. Na mieszkanie otrzymała ciepłą i wygodną budę przy dość od domu odległej stajni końskiej. Przez parę dni doskonale się jej tam wiodło.

Naraz stała się wyraźnie niespokojna i pewnego ranka przeniosła wszystkie swoje szczenięta, po jednemu, do kuchni naszego mieszkania. Ale ponieważ nie było tam miejsca dla niej, kazaliśmy odnieść jej potomstwo z powrotem do budy.

Na drugi dzień Leda powtórzyła znowu swą wędrówkę, zanosząc tym razem wszystkie psiaki do piwnicy. — Ale i stamtąd przetransportowano je na dawne legowisko. — I stało się nieszczęście... W kilka dni później wybuchł pożar na folwarku. Budynki spłonęły, a wśród nich i końska stajnia wraz z psią budą, w której śmierć znalazły Leda i jej dzieci...

Oto przykład, będący poniekąd dowodem, że każde niemal zagrożone zwierzę niepokoi się najpierw w sposób zupełnie widoczny, a wreszcie stara się wszelkiemi sposobami ujść i uratować życie. Zwierzęta wyższego rzędu akcentują swoje obawy w sposób konkretny, łatwy do zaobserwowania, niższe czynią to mniej zdecydowanie, ale wszystkie zdradzają zdenerwowanie — mniejsze lub większe i myślą o ocaleniu. Jeno osobniki stare, lub ciężko chore, zdają się nie mnieć — przynajmniej na oko — chęci do życia i salwowania się, wyznając jakoby ludzką zasadę: „Wszystko mi jedno!"...

W jednym tylko zdaje się wypadku zwierzę bezpośrednio zagrożone, nie reaguje wcale, albo słabo. Mam tu na myśli ciekawe zjawisko hypnozy, dokonywanej przez węże, koty i niektóre jastrzębie. Urzeczona ich wzrokiem, lub ich nagłem pojawieniem się, ofiara, nietylko nie myśli o ucieczce przed niebezpieczeństwem, lecz często podąża sama wprost ku swojemu wrogowi, stając się łatwym jego łupem. Jest to jednak już inna kwestja, która mogłaby stać się przedmiotem bardzo ciekawych dociekań i badań, na tem jednak miejscu chciałbym się podzielić z łaskawymi czytelnikami garścią innych spostrzeżeń, dotyczących zachowania się naszej łownej zwierzyny w momencie, gdy tropiona lub ścigana wie, że grozi jej niebezpieczeństwo śmierci.

Jakie wówczas przedsiębierze środki obrony i jak je przemyślnie realizuje, zależnie od pory dnia i roku,, oto temat niniejszych, zlekka naszkicowanych, rozważań.

Pomijając tedy tego rodzaju uczynki, nader ważne w samoobronie zwierząt, jak np. ubarwienie skóry i upierzenia, zastosowane do otoczenia, zwrócić pragnę uwagę na instynkt naturalny zwierząt, który im dyktuje najrozmaitsze środki zaradcze przeciw zasadzkom, przygotowywanym przez człowieka, lub innego wroga.

Zajęczyca więc zrzuca swoje młode w kępy zwiędłych, szarych trawisk leśnych, albo w kupy gnoju na polu, pod miedzą z nawisłą nad nią trawą, lub wśród starych skib... By nie zwracać niczyjej uwagi, zwołuje zazwyczaj nocą swe potomstwo trzepaniem słuchów lub cichem mruczeniem.

W czasie polowań, zajęczyce instynktem wiedzione, przemyślnie kicają powoli przed nagonką, zalegając w każdem zagłębieniu, za każdym krzakiem i czasem udaje się mądrym osobnikom przeczekać przejście ludzi i znaleźć się na tyłach, gdzie już żadne w danej chwili nie grozi niebezpieczeństwo. Jeśliby chodziło o samce, to one zazwyczaj tylko w wyciągniętym galopie szukają ocalenia.

Jakże często zauważyć można o świcie, że zając, zanim się do snu ułoży, kluczy długo, robiąc dziwaczne pętle, skacze w różnych kierunkach, słowem, maskuje, jak tylko umie, miejsce swojego spoczynku, gdyż wie, że za jego tropem przyjść może niechybne niebezpieczeństwo w postaci ostrych kłów psich lub lisich...

Chcąc zapewnić sobie możliwie największą sumę bezpieczności, zając, kiedy na żer wieczorny z lasu wychodzi, nie biegnie wydeptaną już ścieżką, lecz zbacza z niej umyślnie, z trudem nieraz formując sobie nową, jakby przeczuwał, że u końca starej czai się pod lasem albo lis-rozbójnik, albo kłusownik, albo wisi na niej oko śmiercionośnej pętli...

Arcyciekawe i zgoła komiczne są czasem jego trick'i w ucieczce przed chartem w polu, lub choćby przed legawcem w wysokiej trawie albo w lesie...

Kuropatwa, która zawsze chce zabezpieczyć byt swej rodzinie, zakłada gniazdo w miejscu chwastami porosłem i jeszcze sobie nad niem zasłonę — niby dach — ze ździebełek suchych traw, śliną zlepionych — buduje. W czasie napaści człowieka kuropatwy i bażanty uciekają przed nim na nogach dość długo i dopiero w ostateczności zrywają się do lotu. Osobniki więcej doświadczone dosiadują dalej, nieustępliwie, licząc na to, że pies i człowiek mimo przejdą... A jak zmyślnie umieją odprowadzać wroga od dzieci, łudząc go nieumiejętnością w lataniu i wiodąc za sobą w innym kierunku!

Tę samą taktykę stosują zresztą wszystkie niemal nasze ptaki łowne, od przepiórek począwszy, poprzez bekasy i kaczki, na pardwach i cietrzewiach skończywszy.

Stare lisy odznaczają się niebywałą ostrożnością. Doznawszy w swem życiu wielu groźnych niebezpieczeństw, badają skrupulatnie teren, zanim zdecydują się opuścić norę, w której czują się zawsze najpewniej. Raz po raz wystawiają z niej głowę, by wciąż ją cofać, a poczuwszy czasem ludzki zapach, choćby od pętli, założonej przez kłusownika, uciekają w głąb jamy i już nie prędko z niej wychodzą... Zmuszone głodem, wygrzebują sobie inne wyjście i opuszczają zagrożone schronienie na zawsze.

Lis zaskoczony we śnie i wypłoszony z legowiska przypomina sobie zaraz swoje podziemne mieszkanie i zdąża ku niemu najkrótszą drogą, a nawet postrzelony, ale nie śmiertelnie, tylko do jamy ucieka.

Gonione sarny, gdy jeszcze podszycie lasu, lub grube pnie drzew dobrze je przed okiem strzelca kryją, stoją przez moment w miocie i zdają się naradzać ze sobą, nadsłuchując przytem pilnie i rozglądając się na wszystkie strony. Wreszcie, gdy dojdzie ich wilgotnych nozdrzy zapach ludzki, lub ucho ich złowi najlżejszy choćby szelest, uciekają z szybkością błyskawicy w trafnie obranym kierunku, zazwyczaj na skrzydła lub wprost na nagonkę i znikają, jak leśne duchy. „Były... i gdzieś się podziały", myśli, zdumiony tym wybiegiem myśliwy.

A jak trudno podejść starego rogacza... Zawsze bardzo czujny i ostrożny, nie zrobi ani jednego kroku ze swej kryjówki, nie wybadawszy wpierw okiem, słuchem i nosem najbliższego otoczenia; nawet wtedy, gdy późnym wieczorem lub przed świtaniem, zamierza wyjść na ulubioną paszę. Jeno na drzewie dobrze ukryty i cicho siedzący człowiek, może go zdobyć.

Ale to nie sztuka!...

Taką samą czujnością, w wyższym wszelako jeszcze stopniu, odznaczają się jelenie. Nawet w czasie godowym, gdy byk ryczy, a pierś jego rozsadza żar miłości, nie zatraca on wrodzonej ostrożności i włada dobrze swemi zmysłami...

Wydaje mi się jednak, iż może najlepiej chronić się przed niebezpieczeństwem umieją dziki. Zadziwiająca jest ich pomysłowość, gdy ruszone z barłogów, dają się początkowo pędzić na stanowiska, a potem nagle w pewnym i tym samym, im tylko wiadomym momencie, zwracają w stronę nagonki, przedzierają się przez nią, uchodzą i przepadają. Oczywiście na czarnej stopie.

W ostępach często defilują pomiędzy linją myśliwych a naganiaczami, na otwartą przed sobą przestrzeń z reguły nie wychodząc. Można wprawdzie dzika zobaczyć na przecinkach, ale strzał jest zwykle wtedy ze względu na nagonkę niemożliwy. Zato na białej stopie polowanie na niego daje lepsze szanse człowiekowi.

Gdy wilk znajdzie się w opresji i uchodzi przerażony przed ławą huczków, lustruje zawsze z przyzwyczajenia swym bystrym wzrokiem całe przedpole i najmniejszy ruch myśliwego, stojącego na dobrym przesmyku, zniewala go do natychmiastowego cofnięcia się, zwykle zbawiennego dla niego. Bo tylko zmysłem wzroku salwuje się w takich terminach.

Orły i jastrzębie, dysponując także wyśmienitym wzrokiem, zbaczają momentalnie z drogi swojego lotu, gdy zdaleka spostrzegą nieznaczny ruch, choćby końcem strzelby.

Dzięki więc owemu instynktowi, któremu ku pomocy śpieszą ochronne ubarwienie i wyostrzone zmysły, stwarzają się dość pomyślne warunki bytu dla każdej zwierzyny, a gdy dodamy jeszcze t. zw. „osobiste szczęście", które bezsprzecznie i u niej istnieje, można przypuścić, iż niektóre ze zwierząt mogą w pewnych okolicznościach doczekać sędziwej starości i umrzeć śmiercią naturalną w „mateczniku"...

Wobec jednak nowoczesnej broni, doskonałej znajomości życia i zwyczajów zwierzyny, podpatrzonych przez człowieka, wobec także sportowego traktowania myślistwa przez wielu nemrodów, coraz to trudniej przychodzi bronić się zwierzynie.

A im więcej tropiony zwierz okazuje sprytu i odwagi, im drożej sprzedaje swe życie, stwarzając naprawdę sytuacje pełne niebezpieczeństw, tem większy urok łowów, stających się wtedy prawdziwie rycerską zabawą, godną zapaśników najwyższej klasy.

Z jednej strony dzikość zwierza, jego siła i spryt wrodzony, z drugiej rozum, odwaga i umiejętność we władaniu bronią — oto polowanie, oto wymarzona rozgrywka, której stawką po jednej i po drugiej stronie jest ...Życie...



W. G. S.

Coś niecoś o czasie ochronnym na dziki i odszkodowaniach za wyrządzone szkody

Onegdaj zwrócił się do mnie administrator znacznych obszarów rolnych, prosząc o wyjaśnienie, dlaczego, jeśli ustawa daje czas ochronny na dziki przez jakiś czas w roku, nie zajęła się również ochroną tych, którzy tą ustawą są poszkodowani, mianowicie właścicielami rewirów, którzy wbrew własnym zapatrywaniom, muszą nieraz znaczne bardzo płacić odszkodowania i ponosić na własnych gruntach szkody. Dalej twierdził, że kmiotek częstokroć nietylko nie uskarża się na szkody wyrządzone przez dziki, ale tymże pomaga w uszkodzeniu. Zakłada umiejętnie poletka kukurydzy, owsa i ziemniaków tam, gdzie się najbardziej może spodziewać zniszczenia. Celem takiej gospodarki jest, by uzyskać za ziemiopłody najwyżej notowaną cenę giełdową, przy nieraz fantastycznie wygórowanej, prawdopodobnej wydatności plonu; nie mając ciężarów zbioru, młocki, a unikając kataklizmów atmosferycznych, czasem w dwójnasób zarabia na takich wypłatach odszkodowań z korzystniejszej sprzedaży zbiorów.

Chcąc memu interpelantowi wyjaśnić sprawę, starałem się wytłumaczyć, że czynniki miarodajne ze słusznego wychodzą zapatrywania, iż nie wolno dopuścić do tego, aby jakikolwiek twór przyrody doznał zupełnej zagłady,

że zaś twory bezwzględnie tylko szkodliwe mają tyle sił żywotnych i samoobrony, iż wyniszczyć się nie dadzą — (dajmy nato kanianka) — Jest ochrona lasów, jest ochrona przyrody, praca łączna Towarzystw Łowieckich i Tow. Ochrony Przyrody. Wyłuszczałem dalej, że ustawa daje możność przez 8=m miesięcy w roku prześladowania dzików, wystrzeliwania, wypłoszenia, ba nawet wyniszczenia w danym rewirze. Co się tyczy odszkodowań, to trzeba tępić wszelkie nadużycie co do cen i wysokości plonu, tak, jak to ujmuje taksator ubezpieczeń od gradu. Na to zapytano mnie, dlaczego wilki, lisy, orły i t. d. nie podlegają opiece. Odpowiedziałem, iż wytępienie tych zwierząt, przy ich sprycie, trafia na takie trudności, że o wybiciu ich nie ma mowy. Dowodem jak szybko zdziesiątkowane parchami lisy potrafiły się rozmnożyć. Dziki zaś stoją pod opieką jedynie w czasie macierzyństwa, tak samo jak inna zwierzyna i ptactwo.

Na to wszystko otrzymuję pytanie: „Jeżeli Wam tak zależy na ochronie, to dlaczego wolno strzelać jelenie na rykowisku, rogacze w czasie rui, a głuszcze, cietrzewie i jarząbki na tokach?" — Wyjaśniłem, że bardzo wielcy fachowcy doszli do nienaruszalnego dogmatu, że nietylko polowanie w owym czasie nie jest szkodliwe, ale nawet zbawienne. Zdobycie cennego trofeum dla prawdziwego myśliwego piętrzy tyle trudności, że zwierzostanom żadna nie grozi zagłada, gdyż myśliwy, lub właściciel rewiru nie polujący na mięso, częstokroć lata całe nie dochodzi do strzału, lub strzela jedynie, by usunąć szkodliwe osobniki, — natomiast obecność jego w rewirze kładzie częściowo tamę kłusownictwu nie przebierającemu w środkach i okazjach, a odstrzał umiejętnie regulowany częstokroć zapobiega walkom, które w czasie godów miłosnych niejedną już sztukę złożyły na cmentarzu św. Huberta.

Co się zaś tyczy głosów, że w tym czasie nie można w pełni wykorzystać dochodu z mięsa z ubitej zwierzyny, to przy dzisiejszych szybkościach transportowych i wynalazkach, zagadnienie to nie gra roli. Wreszcie gdyby nawet korzyści nie zostały w zupełności wyzyskane dla ludzi, nie należy zapominać, że w naturze nic nie ginie i ubita lub postrzelona sztuka staje się pożywieniem dla drapieżców, chroniąc tem samem zdrowe sztuki od zniszczenia.

Po tych wszystkich rozhoworach rzucono mi pytanie, dlaczego w takim razie wolno wybierać jaja i młode wronom i srokom, niszczyć gniazda, gdy i te ptaki są tworem Bożym? — Poprosiłem o statystykę, ilu rolników i myśliwych te czynności wykonuje i jaki kontyngent procentowo w ten sposób się niszczy i czy choćby ten sposób był wykonywany dodatnio, czy odczuwa się ubytek tego ptactwa?

Dzielę się tą rozmową z naszymi Czytelnikami, bo może ktoś coś dorzuci, a z drugiej strony nie mogę nie przyznać racji memu interpelantowi, że jeśli ustawa bierze w opiekę dzika i poszkodowanego rolnika, to nie obejmuje poszkodowanego właściciela, który nietylko ponosi szkodę w własnych ziemiopłodach, ale musi płacić drugim za szkodę, choć chciałby dziki usunąć ze swoich rewirów.

Pomoc rządowa w tych warunkach jest właściwie konieczną, albo w drodze odpowiednich ustaw, albo pomocy finansowej dla jedynie poszkodowanych, a zwalanie całego ciężaru na właścicieli łowisk może dać złe wyniki, bo wytępienie dzików w czasie nieobjętym ochroną.

Jeszcze słów kilka o wilkach nie objętych czasem ochronnym. Wilki na Podkarpaciu wyrządzają bardzo groźne szkody, a nieuchwytne, są bardzo trudne do wytępienia. Wileńszczyzna propagowała czas ochronny na wilki, motywując, że wilki są jedyną u nich zwierzyną. Wszak wilki są tam zastraszającem niebezpieczeństwem dla łosi, dla których tyle trudu zadają sobie właściciele łowisk, przez to zwierzę jeszcze zamieszkałym i że muszą być tępione. Argument, że nie ma u nich innej zwierzyny jak wilki, godzi samo przez się w nich samych. N i e m a i n n e j z w i e r z y n y b o s ą w i l k i. Właśnie te wilki o których ochronę się domagają. Weźmy porównanie — tępienie lisów w bażantarniach, pierzastych szkodników w dobrze obsadzonych zwierzyną rewirach, a przekonamy się, jak taka opieka dodatnio wpływa na rozmnożę zwierzyny.

Polska jest tak wielka, ma tak rozmaite tereny, od plaży nad Bałtykiem, aż po szczyty Tatr, że ustawa łowiecka musi być regjonalnie traktowana.

Przykład, termin zamknięcia polowania na zające (poprzednio) 15/I, — stał się katastrofą dla właścicieli łowisk i nabywców, gdyż towar w tak krótkim terminie nie mógł być należycie zużytkowany.

Nowelizacja naszej ustawy łowieckiej jest wskazana, ale nie śmie być zrobiona na kolanie — (jak to się u nas zdarza) i potem cofnięta, albo niewykonalna, ale rozważona regjonalnie, przy współpracy dzielnicowych ideowych Tow. Łowieckich, które najlepiej potrafią ocenić potrzeby i korzyści swoich łowisk.



STANISŁAW ZWOLIŃSKI.

Bocian biały

(Ciconia — Ciconia)

Nawiązując do art. umieszczonego w „Łowcu" z dnia 1=go grudnia 1934, Nr. 23 i 24, na wezwanie p. Kazimierza Wysockiego w sprawie projektowanej ochrony bociana, pozwalam sobie podać parę faktów, stwierdzonych osobiście, a wykazujących zupełną niesłuszność ochrony bociana, który faktycznie powinien być zaliczony do jednych z poważniejszych szkodników w gospodarstwie łowieckiem i stawowem.

Osobiście mam pewien sentyment, czy kult dla tego ptaka obsiadującego dachy naszych dworków i chat, ale jako gospodarz, myśliwy i rybak, uważam projektowaną

ochronę bociana za zupełnie nieuzasadnioną i wskutkach szkodliwą.

Oto fakty:

Jeszcze przed wojną idąc raz polami, zauważyłem w odległości kilkudziesięciu kroków bociana, który chodząc po koniczynie ,ciągle coś łapał i połykał. W pewnej chwili,, tuż obok bociana wyleciała kuropatwa. Zbliżyłem się szybko, bocian podleciał i usiadł kilkadziesiąt kroków dalej, jak gdyby nie chciał się dać odpędzić z obranego miejsca. Zaintrygowany, co też mógł tak łakomie zbierać, przeszukałem koniczynę, z której na obok prowadzącą drogę, wypłoszyłem trzy kilkunastodniowe kuropatwy. Nie miałem już żadnej wątpliwości, że bocian wyzbierał ze stadka sporą ilość młodych kuropatw, zaś troje młodych pozostało tylko dzięki mojej ciekawości.

Po zastrzeleniu bociana i otwarciu wola, znalazłem o ś m młodych kuropatw, rozumie się nieżywych.

Drugi fakt miał miejsce w roku 1925. Będąc w Horodence, jechałem wózkiem polami i zauważyłem zdaleka bociana lecącego z jakimś większym przedmiotem. W pierwszej chwili zdawało mi się ,że to większa ilość perzu lub siana na gniazdo. Gdy nadleciał bliżej, na odległość kilkudziesięciu kroków, odniosłem wrażenie, że przedmiot niesiony w dzióbie porusza się, a gdy moje spostrzeżenia potwierdził jadący ze mną parobek, strzeliłem i bocian ze zdobyczą spadł. Jakież było moje zdziwienie, gdy znalazłem przy bocianie około dwumiesięcznego zająca, dającego jeszcze słabe oznaki życia, który jak stwierdziłem, został trafiony śrutem wraz z bocianem.

Trzeci fakt miałem na stawach. Nie mając żadnych wątpliwości co do szkód wyrządzanych przez tego miłego ptaka, wydałem zarządzenie bezwzględnego tępienia go. Zarządzenie to spotkało się nietylko z niezadowoleniem ludności wiejskiej, ale także z ostrą krytyką i interwencją ludzi poważnych, oraz dobrych myśliwych. W tym czasie zjechało się liczniejsze towarzystwo, celem zwiedzenia gospodarstwa stawowego. Jadąc naprzeciw gości, zastrzeliłem na grobli stawu bociana, obok którego później z gośćmi przechodziłem. Zaczęła się w tej chwili dyskusja na temat mego „barbarzyńskiego" zarządzenia strzelania bocianów, wobec czego kazałem przywołanemu stawowemu rozciąć wól, z którego wyjął s z e ś ć kroczków karpia o łącznej wadze (po dokładnem zważeniu) 108 dkg. Dyskusja w kwestji nieszkodliwości bocianów i interwencja przeciw strzelaniu ich, od tej chwili ustała.

Są to wypadki stwierdzone osobiście, nie brak zaś faktów słyszanych z ust wiarygodnych, a przemawiających bezwzględnie za tępieniem bocianów.

Projektowana ochrona tego „pożytecznego", miłego i swojskiego ptaka ze względów na gospodarkę łowiecką i rybną, które płacą rok rocznie bardzo poważny haracz na jego wyżywienie, jest zupełnie nieuzasadniona. Szkodnik ten na wyżywienie swych żarłocznych młodych dziesiątkuje spotkane gniazda, młode ptactwo, a nie gardzi też nawet ośmiotygodniowymi zającami, zaś na zarybionych stawach rywalizuje z czaplami, mającemi już pod tym względem ustaloną sławę.

Przypuszczając, że wielu myśliwych ma podobne dowody szkodliwości bociana w gospodarstwie łowieckiem, zapraszam Ich, by porzucili wstręt do pióra i podawali w „Łowcu" swe spostrzeżenia, by przez brak wyczerpującej dyskusji w kwestji tego szkodnika, narazie projektowana ochrona nie stała się w niedalekiej przyszłości prawem, mogącem przynieść łowiecctwu niepowetowane szkody.



D. GROETSCHEL.

Śladami tumaka

Po cichej, gwiaździstej i mroźnej nocy, w której temperatura poniżej zera zbliżała się do 20° C, zaświtał dnia 2 stycznia 1905 roku, jasny, pogodny ranek.

Złote słońce wychylało się zwolna z poza prastarych sosnowych borów i oblewało strugami jasnych ożywczych promieni zaśnieżone pola małej wśród rozległych lasów położonej wioski.

Drożyną wychodzącą ze starego lasu sosnowego, wiodącą wzdłuż cichego cmentarza wiejskiego przez pomienione pola, hen ku małej miosce, podążał szybko niski, krępy mężczyzna o ciemnym, na skroniach już lekko szpakowatym włosie. W krótkiej kurtce, wysokich butach, ze strzelbą na ramieniu, szedł wprost ku Nadleśnictwu, które leżało osobno na lewo od wioski.

Był to Jan Smorąg, gajowy, z pochodzenia Mazur, który za chlebem przywędrował do wschodniej Małopolski i tu dzięki zamiłowaniu do lasu i łowiectwa był w danym majątku jednym z najlepszych leśnych.

Zjawienie się jego w Nadleśnictwie zapowiadało niemal zawsze jakąś nowość, względnie co najmniej ciekawe wiadomości myśliwskie, zawsze przeto radowałem się w duszy na jego widok. Ujrzawszy go przez okno, wybiegłem naprzeciw z pytaniem: „Co nowego Jaśku?" Życzliwie uchylił czapki i odrzekł: „Przychodzę specjalnie do Pana, bo na starych dębinach od Olchowego poprzez państwowy gościniec, aż ku dąbrowie moc śladów kunich. Wartoby pójść za niemi — zwłaszcza, że po wczorajszym śniegu łatwo jeszcze tropić.

Rzecz prosta, nie dałem sobie tego dwa razy powtarzać. W dwadzieścia minut po tej rozmowie, maszerowaliśmy żwawo ku pomienionym, o jakie 4 klm odległym dąbrowom.

Przebywszy drogę wiodącą przez wioskę, zapuściliśmy się w stary sosnowy las, potem weszliśmy na duże łąki leśne, wreszcie dotarliśmy do starej dąbrowy, w której już po paruset krokach natrafiliśmy na nocny ślad tumaka.

Tumak przez noc nakreśli tysiące tropów w najróżniejszych kierunkach, wielokrotnie wspina się na stare wysobie drzewa i o ile las jest dość zwarty, czasem po paręset metrów przemyka górą z konara na konar, z gałęzi na gałąź, przesuwając się nawet po całkiem cienkich gałązkach, by wreszcie niewielkie luki przeskoczyć i w ten sposób przedostać się z drzewa na drzewo,

Lecz w tym dniu natrafiliśmy na końcowe tropy tumaka. Śledzenie nie trwało zbyt długo; po jakich czterdziestu minutach dotarliśmy do grubego dębu, który na skraju lasu rozłożył się szeroko, wchodząc potężnemi konarami daleko w łąkę leśną. Kuna leśna weszła na to gałęziste drzewo, lecz z niego nie zeszła. Dla pewności obcięliśmy duże koło — lecz żadnego tropu wyjściowego nie było.

Ponieważ wszelkie stukania o pień nie mogły wyprzeć drapieżnika z zacisznego ukrycia — a miejsca kryjówki nie dało się nam ustalić, zaś żaden z nas nie czuł się powołanym do wykonania trudnych sztuk akrobatycznych, musieliśmy zawrócić bez zdobyczy, której już tak byliśmy blisko.

Tak to potężny, a niedostępny staruszek dąb uratował życie tumaka.

Po krótkiej naradzie, przeszliśmy na wschód, do drugiej partji starych lasów dębowych. Gajowy pierwszy, zdala zauważył długie pasma tropów kunich. Tropy te wyróżniały się już na pierwszy rzut oka od poprzednich dużemi rozmiarami. Ruszyliśmy przeto za niemi, lecz że tropy te tworzyły niebywałą gmatwaninę i rozchodziły się w różnych kierunkach, musieliśmy podzielić role. Gajowy, jako doświadczony, pierwszorzędny tropiciel, szedł za głównym śladem, utrzymując kierunek dążenia tumaka, ja zaś badałem ślady boczne, by potwierdzać nieraz ciężkie rozwikłania tropów kuny, które prowadził po mistrzowsku gajowy. Wytrawny tropiciel w istnym labiryncie śladów szedł dość szybko, nie dając się zbałamucić częstemi wypadami bocznemi i kołowaniem kuny i już z góry twierdził, że tumak zdąża w kierunku małej łączki leśnej, położonej wewnątrz starego lasu.

Raz po raz wracałem do śledzącego gajowego, chociaż bowiem kuna nieraz dalekie robiła wycieczki na prawo i lewo, zawsze jednak wracała do głównego kierunku ku wschodowi. Stąd nieraz przez całe kwadranse szliśmy razem, wówczas mogłem podziwiać niesłychaną wprawę gajowego.

Kuna wspinała się często na pnie starych dębów lub wiązów i szła górą po gałęziach po kilkadziesiąt do paruset kroków. Wówczas gajowy zwalniał tempo, patrzał chwilami w górę szukając najlepszych naturalnych pomostów z gałęzi, poczem schylał się ku ziemi i szukał na śniegu małych odłamków strąconych gałązek, cząstek kory, mchu i porostów, a gdy dostrzegł, choćby drobne okruszyny tychże, szedł za tą wskazówką, jak wyżeł idzie za cieknącą kuropatwą. A gdy i te oznaki gubiły się zupełnie, wracał do miejsca, gdzie ostatnio konstatował przejście kuny i śledził po gałęziach przypuszczalną drogę tumaka.

Czasem, gdy i ta metoda na chwilę zawodziła, obcinał większe koła w kierunku domniemanej drogi tumaka i w ten sposób natrafiał na ślad.

To żmudne tropienie przeciągało się już godzinami, a tymczasem mroźny dzień styczniowy począł się chylić ku zachodowi. Już pod wieczór, będąc na bocznych tropach tumaka, zrezygnowany, zmęczony, bez cienia wiary w powodzenie, pozostawiłem nieodcyfrowane zawiłe zadanie i zwróciłem się ku gajowemu, który nieopodal na prawo dochodził do małej łączki leśnej.

Gdy przyszedłem doń z zamiarem wezwania go do odwrotu, stał właśnie na skraju lasu nad pomienioną łączką i patrzył w górę w koronę starego wiąza. „Stąd wyszła" — rzekł — „ot tu starszy trop — tu przyszła z powrotem, trop znacznie świeższy, tu zatem jest".

Zatoczone koło o dużym promieniu, upewniło nas, że stary wiąz był w istocie kryjówką tumaka.

Niebawem też odkryliśmy wysoko na wiązie w gałęziach duże gniazdo wiewiórcze, w którem tak chętnie przebywa w zimie tumak.

Gajowy uderza laską po pniu wiąza, a gdy to nie pomaga, strzela śrutem w gniazdo, z którego sypią się liczne odłamki suchych patyków — lecz kuny ani śladu.

Kuna lubi, jak uczy doświadczenie, siedzieć nieraz niebywale twardo, lecz żeby nie ruszyła po strzale w gniazdo, to chyba jej tam wcale nie ma.

Rozglądamy się po koronie wiąza, w górze widać drugie gniazdo, ale znacznie mniejsze, nic nie wskazuje na to, by to drugie było siedzibą kuny.

Po krótkiej naradzie, gajowy ładuje grubszy śrut i strzela po raz wtóry w gniazdo, stanąwszy tuż pod niem. Po strzale kilka suchych odłamków wylatuje ponad gniazdo, nieco odłamków sypie się na nas z gniazda — ze środka zaś wysadza kuna i zanim zdążyłem się złożyć, znika za grubym konarem wiąza.

Z okrzykiem „kuna" — podbiegam na przeciwną stronę pnia, kuny nie widać już w gałęziach wiąza. Za chwilę mknie szybko po gałęziach sąsiedniego dębu. Nerwowo rzucam flintę do ramienia i strzelam, kuna chybiona pomyka żwawo w splocie gałęzi. Posyłam jej przeto spokojniejszy już drugi strzał, skuliła się w kłębek i spadła na ziemię z wysokości około 28 metrów. Kilkakrotnie podniosła jeszcze swą piękną główkę i po kilku skórczach przedśmiertnych, pozostała bez życia.

Był to silny stary samiec. Po obieleniu dało się dokładnie oznaczyć działanie strzałów.

Tumak trafiony przypadkowo przez gajowego w gnieździe drugim strzałem, dwoma śrutami w tylne odnóże, uchodził jakby chybiony, postrzał ten był bowiem tylko powierzchowny bez naruszenia kości i mięśni.

Z mojego drugiego strzału tylko dwa ziarnka śrutu trafiły kunę w samą komorę, co jednak najzupełniej wystarczało, tem bardziej, iż był to śrut grubszy.



MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI

Trzy borsuki jednego dnia

Towarzyszą nam dwa psy: Pik i Cygan.

Pik to mieszaniec jamnika z kundlem, Cygan — duży, żółty, oryginalny... również kundel.

— Jamy nowe, ślady świeże, mech i liście włóczone" — padają słowa gajowego w czasie jazdy.

Wpuszczamy Pika do nory, Cygan uwiązany do drzewa szczekaniem daje znak swemu nieukontentowaniu. Po chwili słyszymy szczekanie w jamie. Zna!, że Pik zaatakował borsuka.

Gajowy ściąga kurtkę i wnet kawałki ziemi rwane kilofem i rydlem, wylatują w powietrze. — Coraz większy i głębszy staje się dół. — Naokoło jamy gęsty zagajnik świerkowy.

Ponieważ duszenie powrozem borsuka jest dla mnie czemś nielicującem z nazwą polowania, postanawiamy strzelać do niego. Nabijamy więc strzelby.

Pot spływa kroplami z twarzy gajowego. — Paniczu, chwileczkę tylko odpocznę — mówi. — Nie można — odpowiadam i sam biorę łopatę i kopię dalej. — Dół już jest taki, że chowam się zupełnie, a mam dobry wzrost (185 cm wojskowej miary).

Po chwili rydel lekko zanurza się w ziemię i ukazuje się loch podziemny, z którego widać tylko ogon Pika. Wyciągamy go, a na jego miejsce puszczamy Cygana, który jako bardziej cięty, lepiej będzie atakować.

Pies wpada do jamy, lecz w tej chwili cofa się z rozdartem uchem. Wreszcie i jego wyciągamy i z bijącem sercem czekamy na ukazanie się pręgowanego łebka.

Wtem mignął nam, ale nim zdążyliśmy strzelić, już schował się z powrotem.

Ponieważ jest nas aż trzech ze strzelbami, więc pozwalam sobie odejść trochę na bok i zapalić papierosa. Odwrócony tyłem do jamy, słyszę strzał. — To Józio Sz. strzelił do borsuka, którego po chwili wyciągamy z jamy. Oglądany okaz był samcem wagi 32 funtów.

Wpuszczamy psa jeszcze raz do jamy, by sprawdzić, czy pusta, ale po chwili wychodzi z niej i powtórnie już wejść nie chce. Widocznie nic w niej niema.

Jest godzina dwunasta, dłuższa chwila odpoczynku, należąca się nam po czterogodzinnem kopaniu. — Odpocząwszy ruszamy do drugiej jamy.

Rzadki, w rzędy sadzony zagajnik sosnowy otacza ją. Podłoże piaszczyste, więc łatwiejsze kopanie. Wylotów pięć. Cztery z nich zatykam i w piąty puszczamy Pika. Stoję oparty o drzewo, strzelba w ręku, kurki odwiedzione. — Ledwo pies wpadł do jamy, jeszcze prędzej z niej wyszedł. W tej samej chwili wypada borsuk. Błyskawicznym ruchem wyskoczył z jamy i ucieka.

Nie mierząc prawie, strzelam, a nie widząc, co się z nim dzieje po strzale, naoślep walę drugi raz. — Po chwili, kiedy już nerwy się uspokoiły, widzę borsuka leżącego, a przy nim obydwa pieski. — Pierwszy borsuk w życiu. (Samica wagi 28 funtów). Jestem wprost uszczęśliwiony. Ściskam gajowego, który śmieje się, mówiąc:

— Ot panicz młody to i się cieszy z jednego. Mnie to bywało jednego dnia, kiedym jeszcze służył w Spalskich lasach, pięć, sześć borsuków wykopać.

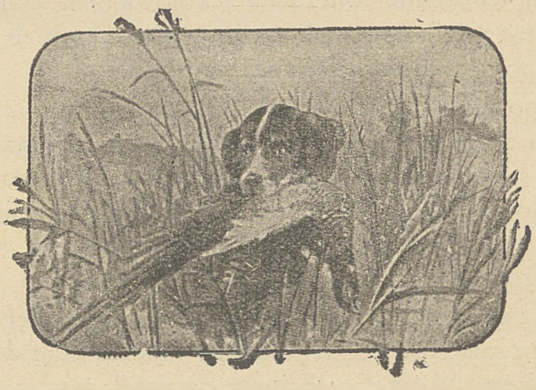
Podczas tego Cygan wpadł do jamy, skąd doszedł nas jego głos. — Patrzymy się jeden na drugiego, myśląc — Czyżby drugi? Znowu zaczynamy kopać. Ale idzie nam łatwo, piasek sypki, więc kopanie znacznie lżejsze. — Po półgodzinnej pracy ukazuje się przejście.

Niestety walka przeniosła się już dalej. Znowu pół godziny kopania i trafiamy na główną komorę. Tuż słychać szczekanie. Cygan wypada z jamy, łapie trochę powietrza i znów w niej ginie. Wtem widzimy, pies wolno, systematycznie się cofa. Łapiemy go i czekamy na borsuka. Mija pięć, dziesięć, piętnaście minut, borsuka nie widać. Gajowy wycina giętki pręt i wkłada go do jamy. Jedno okamgnienie i gajowy leży wywrócony przez borsuka, który wypada z nory. Pada strzał Józia, po chwili jeszcze jeden strzał Pawła i trzecia sztuka wieńczy nasze trudy. Znowu samica 25 funtów wagi.

Oglądamy jamę, gdzie znajdujemy skórkę z jeża, skoki zająca i moc pierza z cietrzewi, drozdów i innych ptaków. Nagle słyszymy dudnienie pod ziemią i wypada trzeci borsuk. Strzelby leżą o jakie dziesięć kroków. Rzucamy się do nich. Strzelam raz — pudło, drugi — pudło, borsuk zdrów poszedł. A mogliśmy mieć i tego. Wracamy do domu szczęśliwi, każdy z nas ma borsuka. Paweł Sz. i ja obchodzimy debiut zabicia pierwszego borsuka w życiu. Nie dziwić się więc naszej radości.

Zmęczeni okropnie przyjechaliśmy do domu, gdzieśmy zważyli nasze trofea i odfotografowali.

I znowu jeden dzień złoty więcej w szarej wstędze codziennego życia.



ADAM STARZEŃSKI

Wystawa w Londynie

Country Life urządza w bieżącym roku w Londynie w dniach od 16 października do końca listopada w British Museum w oddziale przeznaczonym dla Historji Naturalnej w hallu wieloryba międzynarodową wystawą wystawę zdjęć żywych ssaków i ptaków, dokonanych w ich ostojach naturalnych, zamiarem jest okazać najlepsze co dotychczas fotografja zdołała wykonać w zdjęciach z natury. Ma to być tego rodzaju największa jak dotąd wystawa. Objąć ma o ile możności cały świat. Celem jej jest propaganda wychowawcza w kierunku zrozumienia piękna przyrody i dlatego bezpłatny będzie wstęp dla publiczności.

Gdy Polska mająca już swą ustaloną sławę kraju myśliwsko bogato uposażonego i myśliwsko wielce intere-

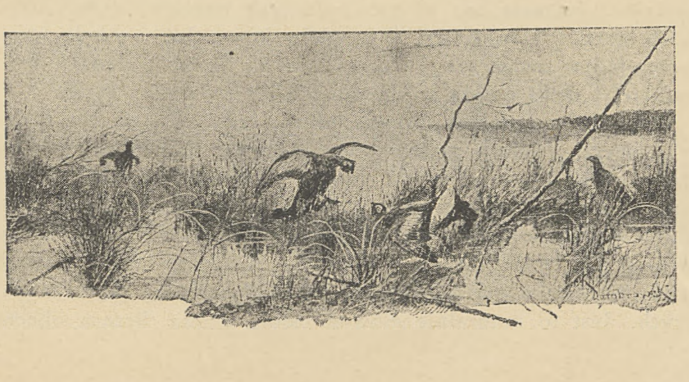
sującego, otrzymała zaproszenie do wzięcia udziału w tej wystawie, Państwowa Rada Ochrony Przyrody podjęła się tego zadania a dzięki życzliwej pomocy miłośników naszej polskiej przyrody, zdołaliśmy zebrać szereg pięknych zdjęć, z których najlepsze, wybrane w ilości 36 szt., wysłane zostały już do Londynu, gdyż termin nadsyłania oznaczony był na koniec sierpnia.

Format zdjęć wynosi zgodnie z żądaniem wystawców 30 do 40 cm, naklejonych na jasnych kartonach, o jednakowych rozmiarach 40 na 50 cm. Napisy polskie i angielskie. Na pierwszem miejscu umieszczone są oczywiśnie żubry. Tych wysłano cztery zdjęcia z Białowieży a jedno z Pszczyny. Dalej mamy karpackiego niedźwiedzia p. inżyniera Burzyńskiego i tegoż gęsi, ciągnące w olbrzymim kluczu gdzieś nad szczytami naszych Karpat Wschodnich. Jest także zdjęcie — trudne do zdobycia — poleskiego niedźwiedzia, dokonane przez p. Włodzimierza Korsaka, który dostarczył również głuszcza na zapadzie krzyżówki kaczory ciągnące nad poleskiem tajemniczem uroczyskiem, cietrzewie na brzozach, a także i odyńca, jakiegoś olbrzyma niesamowitego, przebiegającego linję w głębiach puszczy. Mamy również i wilków parę przekradającą się w gąszczach. P. Kazimierz Puchalski, którego zdjęcia odznaczają się zawsze niezwykłą pięknością, dał nam między innemi kulona dużego na łące kwiecistej. Ale trudno wszystkie te splendory wyliczać, wszystkie opisywać. Myśliwsko ciekawie przedstawia się dzik przed psami. Scena w czterech obrazkach zdjęta w Pieniakach, w sławnej oddawna dziczej kniei, przez p. Stanisława Cieńskiego. To umieszczono na jednym oczywiście kartonie. A lisy myszkujące! A zajączek w śniegach kicający!

Powiększeń tych wszystkich dokonał świetnie i z wielkiem zrozumieniem przyrody p. Stanisław Mucha, zakład artystyczny w Krakowie, który dostarczył także i swoje zawodowo wykonane zdjęcia: żbika na drzewie i parkę bocianów brodzących w jeziorku wśród bogatej roślinności.

Wielkiej w tem pomocy Państwowej Radzie Ochrony Przyrody udzielił Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich, użyczając ze swych zbiorów znaczną ilość zdjęć, z których użyliśmy i powiększyliśmy ośm sztuk.

Mimo wielkiej i niebezpiecznej konkurencji światowej, mamy wrażenie, że nasze polskie zdjęcia uzyskają zasłużone uznanie. Niestety daleka droga do Londynu i nie łatwo będzie osobiście na miejscu to stwierdzić. Państwowa Rada Ochrony Przyrody zamierza, gdy zdjęcia te nasze z Londynu powrócą, wydać je, o ile szczupły fundusz wydawniczy na to pozwoli, w osobnym albumie, a to w celu naszej wewnętrznej propagandy wychowawczej.



Ś. † P.

JÓZEF hr. Bolesta KOZIEBRODZKI

ziemianin, członek M. T. Ł.

zmarł 31 lipca b. r. w majątku swoim Dźwiniaczce w 65-tym roku życia.

Zawołany myśliwy, interesował się żywo sprawami i literaturą łowiecką.

Cześć Jego pamięci!

Ś. † P.

Inż. ANTONI KÓRASIEWICZ

były długoletni członek M. T. Ł., zmarł 25 kwietnia 1935 w Żydaczowie.

Ś. p. Zmarły interesował się żywo łowiectwem i był przedwojennym stałym korespondentem „Łowca".

Cześć Jego pamięci!

W ostatnim numerze wkradła się niezauważona w korekcie pomyłka przez umieszczenie niewłaściwego nazwiska w powyższem uwiadomieniu, którą niniejszem prostujemy. Red.

Korespondencje

Powiat Śniatyński w świetle stosunków łowieckich oraz kilka myśli ogólnych.

(Dokończenie)

Po tej degresji wracam znów do stosunków łowieckich powiatu śniatyńskiego.

W tej chwili wygrzebałem z mojej teczki łowieckiej okólnik starostwa powiatowego w Śniatynie do wszystkich posterunków Policji Państwowej w powiecie. Zarządzenie to nakazuje czujność i energję wobec wzmagającego się w powiecie śniatyńskim kłusownictwa i wnykarstwa.

Szkoda tylko, że rozporządzenie to — które należałoby mojem zdaniem — perjodycznie bodaj dwa razy w roku stale powtarzać, nosi datę jeszcze z listopada 1930 r.

Teraz jeszcze jedna bolesna sprawa. Rok 1932 był dla myśliwych powiatu śniatyńskiego do pewnego stopnia przełomowym. W tym okresie kończyły się we wszystkich prawie obwodach poprzednie 6-cioletnie okresy dzierżawne i rozpoczęły się nowe dzierżawy już na podstawie ustawy z 1927 roku.

Niestety nie podchodzono do rozstrzygnięcia tych kwestji z należytem uwzględnieniem dobra łowiectwa i zwierzostanów, tak że szereg rewirów przeszedł w ręce niepowołane. Niestety to samo stało się w niektórych wypadkach z łowiskami, w które dotychczasowy dzierżawca włożył naprawdę poważny zasób pracy, energji i kosztów.

Chcąc być sprawiedliwym, należy przyznać, że Władze Administracyjne napotykają na poważne trudności w wykonywaniu obowiązków, jakie na nie nakłada artykuł 73-ci ustawy łowieckiej w dziedzinie opieki nad łowiectwem i nadzoru nad przestrzeganiem przepisów tejże ustawy.

Jest to tematem dla osobnego obszernego artykułu, dlatego ograniczę się do kilku tylko przykładów.

Mnogość i różnorodność spraw urzędowych, samorządowych, reprezentacja i wyjazdy nie pozostawiają kierownikom powiatów i ich nielicznym przeciążonym pracą referentom dostatecznie czasu dla czuwania nad sprawami łowieckimi.

Są jeszcze dalsze trudności. Kilkakrotnie cytowane Rozporządzenie Prezydenta nie przewiduje — jak to uczyniła Ustawa Łowiecka z 1927 roku — prawa zamykania polowań w poszczególnych obwodach łowieckich. Przepis ten, umiejętnie zastosowany, okazał się w wielu wypadkach nieocenionym wprost środkiem dla ochrony przyrody od zagłady.

Wgląd w gospodarkę łowiecką zagrożonego obwodu pod kątem widzenia 2 ustępu art. 27 Rozporządzenia z 3/XII 1927 Dz. U. N. 110, które stanowi, że właściciel lub dzierżawca polowania może wydać tylko taką ilość pozwoleń na polowanie w dotyczącym obwodzie, aby na każdego posiadacza zezwolenia przypadało conajmniej 50 hektarów powierzchni obwodu; taki środek jest zupełnie niewystarczającym.

Dopuszczone orzecznictwo sądów grodzkich i okręgowych jako instancji odwoławczych, przewleka, zmniejsza, a czasami całkiem znosi tak pożądany wymiar kary. Rezultat praktyczny pozostaje zawsze ten sam: „Kłusownictwo i wnykarstwo zyskuje nowego zwolennika i gorliwego wykonawcę". Dalsza konsekwencja: zatrważający zanik zwierzostanu.

Zatem i w powiecie śniatyńskim zanikają poszczególne gatunki zwierzyny, jak stałe tu dawniej dziki, dawniej dość liczne wydry i kuny leśne, z wielkim nakładem kosztów wprowadzane i utrzymywane bażanty, zanikają nawet i kuropatwy, które tyle dają emocji myśliwemu i zachęcają do utrzymywania psów myśliwskich.

Natomiast mieliśmy na wiosnę roku 1934 w czasie od 22 marca do 10 kwietnia niewidziany w naszych stronach w tej obfitości ciąg słonek.

W kilku miejscach ciągnęło przez kilkanaście wieczorów po dwadzieściakilka długodziobów. Natomiast rok 1935-ty sprowadził nas znowu do szarej przeciętności, gdyż liczba ciągnących słonek wahała się od 2 do 7 co stanowi normę lat poprzednich.

Najpoważniejszą zwierzyną łowną naszych stron są r o g a c z e. Niewielki, 2.000 ha nieprzekraczający obszar lasów powiatu śniatyńskiego nie tworzy zbyt korzystnych warunków dla rozmnoży sarn. Chcąc więc takowy jakościowo i ilościowo w naszych łowiskach utrzymać, należy bezwzględnie tępić szkodniki dwunożne, czteronożne i skrzydlate, tworzyć remizy ochronne i pólka dla zwierzyny, odpowiednio je obficie w zimie dokarmiać i przez cały rok utrzymywać racjonalne lizawki. Należy wreszcie — przy całkowitem zabronieniu odstrzału siut — dozwolić odstrzał rogaczy tylko kulami i tylko w czasie od 1 czerwca do 1 października, a to na podstawie fachowego planu odstrzałowego.

Końcowych słów kilka pragnę poświęcić na obronę z a j ą c a tego szarego szeregowca naszej ukochanej armji leśnej. Rozkłady kilkudziesięciu dni polowań leśnych i polnych odbytych w powiecie śniatyńskim w czasie od 15 października 1934 do 31 stycznia 1935, wykazały dowodnie, że stan zajęcy w naszym powiecie zatrważająco się zmniejszył i to nawet pomimo gorliwej i racjonalnej gospodarki łowieckiej w wielu łowiskach.

Musimy wszyscy właściciele i dzierżawcy obwodów łowieckich tępić wszelkiemi sposobami kłusowników wnykarzy i inne szkodniki nie wyłączając wron i srok. W zimie należy zające obficie dokarmiać, a w końcu najgorętszy apel do ludzi dobrej woli! Należy zaniechać polowań w pojedynkę i na deptaka a wreszcie zaniechać lub przynajmniej ograniczyć polowania w kotłach, pamiętając przy tem wszystkiem, że jednego i tego samego rewiru więcej jak raz do roku opolowywać nie wolno.

Co do polowań w kotłach, pragnę przypomnąć, że chodzi tu o zaniechanie lub przynajmniej ograniczenie takich sposobów polowania przy których szanowanie samic jest niemożliwe tak jak to natomiast przeprowadzić można polując miotami polnemi pędzonymi czyli tzw. Drukerami. Koniecznemi wydają mi się też zarządzenie Władz nakazujące trzymania psów na uwięzi, tępienie psów bezdomnych, tępienie wron, srok i jastrzębi a wreszcie energiczne ściganie kłusowników i wnykarzy, wkońcu niemniej energiczne występywanie przeciw właścicielom i dzierżawcom łowisk, którzy swoją obojętnością, a często wprost negacją powodują sami upadek własnych rewirów.

Zdaje mi się, że pożądanem byłoby rozszerzyć czas ochrony dla zająca na okres od 16 stycznia do 31 października.

Przestrzegajmy zatem wspólnie i konsekwentnie tych podstawowych zasad racjonalnej gospodarki łowieckiej, a nie mogąc w obecnych kryzysowych warunkach sprowadzać zwierzyny dla rozmnoży i odświeżenia krwi, ograniczymy się tam, gdzie grozi zanik zwierzostanu, w sposób wyżej wskazany i poniesmy jeszcze tę ofiarę, ażeby nasze lasy i pola znów zaroiły się zwierzyną silną i zdrową!

Dr. Michał Moysa Rosochacki, del.

Coś niecoś o stosunkach łowieckich powiatu Sokalskiego.

Wkraczam może w atrybucje aż czterech sąsiadów-delegatów naszego powiatu — zawzięcie zresztą milczących — jeżeli zabieram głos o stosunkach łowieckich naszego powiatu — ale sądzę przecież, że za wyręczenie Ich, powinienem zasłużyć sobie nawet na Ich wdzięczność!

Ciężka sytuacja gospodarcza wyryła i na życiu myśliwskiem swe piętno i tylko mała liczba wybrańców losu mogłaby — gdyby nie gębiła nasze społeczeństwo ogólnie znana „grafofobia perniciosa vulgaris" — podzielić się z czytelnikami „Łowca" opisami doznanych daleko większych emocyj niż strzały do biednych „haserów", a przeważna szara masa myśliwych ograniczać musi swój zasiąg działania do tych tak posponowanych zajęcy, korzystając tylko z uprzejmości ruchliwszych i mniej na obecne stosunki wrażliwych sąsiadów.

Powiat Sokalski wbija się klinem ku północy zwróconym między Wołyń a powiat Hrubieszowski województwa Lubelskiego, a Bug dzieli go na wschodnią i zachodnią część, i ta właśnie linja Bugu stanowi charakterystyczną granicę dobrego stanu drobnej zwierzyny, zwłaszcza zajęcy, po lewej (zachodniej) stronie i bardzo skromnego a może i marnego stanu po prawej (wschodniej) stronie.

Bug zresztą stanowił aż do wojny światowej także granicę zasięgu susła, tej plagi rolnictwa naszego powiatu, dopiero w czasie wojny dostały się susły na wschodnią stronę Bugu.

Powodem tej różnicy w zwierzostanie zdaje się być fakt, że z biegiem czasu utworzyły się po zachodniej stronie 3 wielkie łowiska, obejmujące każde po kilka tysięcy morgów, przeważnie pól, graniczące bezpośrednio ze sobą, a nie przerywane terenami miejskich towarzystw łowieckich, nie mogących przy najlepszych chęciach dostatecznie swych terenów pilnować, a dzierżawiących gminy nad Bugiem bliżej Sokala położone i szereg terenów gminnych wschodniej części powiatu. Są to następujące 3 tereny łowieckie: Uhrynów p. Eustachego Rylskiego, Chorobrów-Łubów M. i R. Kruszewskich i Moszków Jana hr. Platera.

Rozkłady polowań tych 3 terenów łow. są następujące: W Uhrynowie padło na ostatniem w r. 1933 odbytem 2-dniowem polowaniu w lesie w 12 strzelb: 310 zajęcy, zaś w styczniu 1929 roku, dały lasy uhrynowskie jedyny może swego rodzaju rozkład światowy, a mianowicie 135 zajęcy i 1 lisa (i 2 grube odyńce), strzelonych wyłącznie kulami przez 9 myśliwych, o czem w Nrze 3 „Łowca" z 1 lutego 1929 r. pisze towarzysz myśliwy „WGS".

W Chorobrowie-Łubowie w styczniu b. r. padło w 1 dniu w 6 kotłach w 14 strzelb 343 zajęcy. Koronę rozkładów stanowią rezultaty ostatnich dwóch polowań w Moszkowie: 31 X. 1932, padło w 9 strzelb w lesie: 22 lisy, 72 zajęcy i 3 bażanty; a 3 XI 1934 r.: 15 lisów, 14 zajęcy 24 bażantów w lesie w 12 strzelb.

Po prawej stronie Bugu nie osiąga się nigdzie znaczniejszych rozkładów drobnej zwierzyny. — W ordynacji Poturzyckiej hr. Dieduszyckich pada okazyjnie w braku dzików na 3-dniowych polowaniach w 16—18 strzelb do 140 zajęcy i kilka lisów, — a P. Marja Urbańska obecna właścicielka dóbr Tartaków, większych polowań nie urządza, chociaż wobec znaczniejszego, kilka tysięcy morgów obejmującego obszaru własnych terenów, w tem około 1.500 morgów lasu, knieja ta mogłaby łatwo dać rozkłady wyjątkowo ładne, zwłaszcza, że w sąsiedztwie lasów ordynacji Poturzyckiej i dziki należą w Tartakowie do zwierzyny stałej.

Południowa i południowo-wschodnia część powiatu jest lesista, o gorszych ziemiach piaszczystych, a nawet bagnistych, przechodząca miejscami w krajobraz poleski z karłowatą sosną (część lasów Bełskich i Kuliczkowskich). Największy obszar, około 14.000 morgów lasu, w południ.-wschodnim kącie powiatu obejmuje ordynacja hr. Dieduszyckich, Poturzyca, znana ze swych tradycyjnych już blisko od pół wieku odbywających się polowań dziczych. Jest to naturalnie główna ostoja dzicza, licząca obecnie

stale około 80 dzików — 3 dniowe polowanie w 16—18 strzelb dają od 9 do 41 dzików (w r. 1931) przeciętnie około 20 — pozatem dziki korzystają tam z zupełnego spokoju przez cały rok i cieszą się specjalną opieką i względami troskliwego gospodarza.

Drugą ostoją dziczą są lasy do chrześcijańskiej gminy miasta Bełza należące, obejmujące obszar 3.000 morgów, a graniczące z lasami fundacji Kuliczkow i p. K. Osmolskiego także 3.000 morgów liczącemi, a dalej z lasami Parchacza i Roczyna p. Jana Madejskiego obszaru 6.000 morgów. Ten 12.000-ny kompleks lasów łączy się ku południowi z lasami powiatu Żółkiew i Rawa ruska. Stan dzików tych lasów został w ostatnich latach znacznie zdziesiątkowany. — Knieja Bełzka, dzierżawiona od r. 1886 przez Towarzystwo, składające się przeważnie z ziemian Sokalskiego i okolicznych powiatów, a od r. 1918 prowadzone przez niżej podpisanego, została dokładnie opisana w „Łowcu" w Nrze 12 z grudnia 1927 r. — Tow. Bełskie poluje 2 dni w październiku i 2 dni w styczniu i jeszcze przed kilkoma laty pochwalić się mogło jednodniowym rozkładem 13 dzików, 80 zajęcy, kilku lisów i rogaczy. — Zaś w sezonie 1904/5 r. w 5 dniach, wynosił rozkład: 20 dzików, 30 rogaczy, 33 lisów, 119 zajęcy, 27 słonek. Obecnie pada w 4-ch dniach w 9—12 strzelb około 200 zajęcy, 15 do 24 rogaczy (strzelane od 6 lat tylko kulami) i kilka lisów i słonek, a dzików 0—2!

Intensywna eksploatacja lasów (czyszczenie i prześwietlanie!) dobra broń, wzrastająca z każdym rokiem ilość myśliwych, oto wrogie czynniki, którym stopniowo ale stale ustępywać musi pola czarna rzesza dzicza.

Trzecią ostoję dziczą stanowią lasy Uhrynowskie p. Eustachego Rylskiego o obszarze około 2.000 morgów, ale przylegające do matecznika dziczego, jakim są lasy Dołhobyczowskie pp. Walewskich w powiecie Hrubieszowskim, Poturzyńskie pp. Rulikowskich i Hołubie p. Eust. Świeżawskiego o łącznym obszarze około 1000 morgów, w których stan dzików utrzymuje się na wysokości około 50 sztuk. W Uhrynowie pada zimą przed psami z ręki samego właściciela 10 do 25 dzików.

Czwartą ostoją dziczą jest — proszę się nie śmiać — dwustu morgowy lasek w Szarpańcach, p. Stanisława Bilińskiego, stanowiący jednak południowy kraniec lasów Porycka Stan. hr. Czackiego, znanej na całą Polskę ostoi dziczej. I w tych 200 morgach wybiera sam właściciel osobiście przed małym pieskiem lub gajowym rokrocznie po kilka, a nawet kilkanaście dzików.

Stan sam jest po lewej stronie Bugu ogólnie dobry — miejscami może nawet za silny. Poroża nie odznaczają się przeważnie siłą; może dlatego, że rogacze nie mają czasu dojść do odpowiedniego wieku — bo dawniej padały rogacze o grubo lepszych porożach, Ale też i lasy Sokalskie ubogie są w wapno. — Z wyjątkiem kniei Bełskiej, gdzie odstrzał na podjazd nie mógłby być wykonany równomiernie przez wszystkich towarzyszy, strzela się prawie wszędzie rogacze tylko w lecie. Pod względem rogaczy palma pierwszeństwa należy się lasom Uhrynowskim, gdzie właściciel odstrzeliwuje z ambon około 20 rogaczy rocznie. — Kilkanaście rogaczy pada w lasach Parchacza i Roczyna p. Jana Madejskiego, około 10—12 w Moszkowie hr. Platera i około 8 w 350 morgowym lesie w Uśmierzu pp. Hulimków.

Lisy obrały sobie jako swe eldorado 400 morgowy las w Moszkowie hr. Platera, o czem już wyżej wspomniałem, i o czem dokładniej pisałem w Nrze 23 „Łowca" z 1 grudnia 1932 r. Nigdzie indziej w powiecie nie występują choćby w zbliżonej ilości. Prawdopodobnie ściągają je bażanty i świadomość, że się je mimo chowu bażantów nie tępi, za co tyle wdzięczności gościnnemu dla nich gospodarzowi w dekoracji Moszkowskich rozkładów okazują!

Bażanty chowane są tylko w Moszkowie i to na dziko, z bardzo dobrym rezultatem, biorąc pod uwagę współżycie z niemi takiej rzeszy lisiej. Jest to rezultat troskliwej opieki tak zamiłowanego hodowcy-myśliwego, jakim jest hr. Jan Plater.

Lasy Uhrynowskie posiadają wbrew intencji właściciela mały, korzystający z wzorowej opieki całego łowiska, stan bażantów-uciekinierów z sąsiednich lasów Dołhobyczowa i Hołubia. Z Hołubia przyszły one też łozami wzdłóż Bugu aż pod Sokal, o 30 km.

O stanie zajęcy wspominałem już na początku. Znaczniejszych ilości kuropatw jak też kaczek i ptactwa błotnego nie ma w powiecie.

Mamy w powiecie i cietrzewie, mianowicie w lasach Parchacza-Rowyna, Kuliczkowa i Bełza. Jeszcze w r. 1929 naliczyłem koło budki w Kuliczkowie przeszło 20 tokujących kogutów. Obecnie najwięcej cietrzewi pada w Roczynie u p. Madejskiego, a w miarę podnoszenia się lasów Bełskich (Prusinów) i Kuliczkowskich, cietrzewie częściowo wyniosły się całkiem, a część ich pozostała odbywa swe toki w sąsiednich rewirach.

Oryginalnem, trudnem do wytłumaczenia zjawiskiem jest fakt pojawienia się stale orłów różnego gatunku w przelocie na polach i w małych laskach 70—100 morgowych do majątku Chorobrów należących .Okolica Chorobrowa to dość wysoko położone bezleśne płaskowzgórze, otoczone doliną Bugu od północy i wschodu, a doliną Sołokiji i Raty od południa. Za Bugiem rozciągają się gęsto lasy Wołynia — a za Sołokiją i nad Ratą ogromne przestrzenie leśne powiatów Rawa ruska i Żółkiew. Strzelane tu były: Sęp płowy, orzeł przedni, bielik, zys, wołochaty — a w r. 1932 został zabity orzeł cesarski, o którym pisze prof. Domaniewski w Nrze 13 „Łowca Polskiego" z 1 maja 1934 r., że jest to 3-ci wypadek znany w historji avifauny Polski, zabicia na terenie Polski tego królewskiego ptaka. Od tego czasu jednak zaczyna się na terenie Małopolski częściej pojawiać, bo zdaje się w r. 1933 otrzymało Muzeum hr. Dzieduszyckich z pod Kolbuszowej drugi okaz do wypchania, a prawie równocześnie został pod Tarnopolem złapany żywcem trzeci okaz, który po długiej peregrynacji, dostał się do ogrodu zoologicznego w Warszawie. Czwarty okaz orła tego (według oznaczenia p. Fr. Kalkusa w Muzeum Dzieduszyckich), został znów w Chorobrowie zdobyty przez p. Wincentego Dembińskiego już w r. 1935.

Wkońcu nadmienić wypada, że na wystawie Łow. w Warszawie reprezentowany był powiat sokalski przez następujące eksponaty:

P. Stan. Biliński wystawił 7 eksponatów, któremi zdobył aż 10 nagród! (6 nagród w ogólnopolskiej klasyfikacji, a 4 nagrody wojewódzkie), przyczem 1 para szabel nie była klasyfikowana.

Za rożki rogacza zabitego na podjeździe w lesie państwowym Zawidów na Wołyniu obok Szarpaniec położonym: w ogólnej klasyfikacji medal srebrny, w wojewódzkiej (Wołyń) złoty (jedyny, przyznany na całej wystawie!)

Za 2 pary szabel 2 srebrne ogólnopolskie i 2 srebrne wojew.

Za 1 parę szabel: 1 bronzowy ogólnopolski i 1 bronz. wojew.

Za 1 parę szabel: 1 bronz. ogólnopolski.

Za cietrzewia białego (zabitego na toku w Dzibułkach. pow. Żółkiew) żeton złoty.

Niżej podpisany wystawił: anormalny wachlarz głuszca, zabitego na toku w ordynacji Dawidgródeckiej Ks. Karola Radziwiłła i orła cesarskiego zabitego w Chorobrowie w r. 1932, za którego otrzymał złoty żeton.

Łubów, w lipcu 1935 r. *Mieczysław Kruszewski.*



ODEZWA

do Pp. Delegatów i Członków Krakowskiego Oddziału Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

Zgodnie z uchwałą dorocznego Ogólnego Zebrania w dniu 19 maja b. r., zwracamy się do naszych **Pp. Delegatów i Członków** z usilną prośbą o nadsyłanie nam, w celach statystycznych i orjentacyjnych, możliwie dokładnych sprawozdań z odbytych polowań i stanu zwierzyny w terenach za każdoroczny sezon myśliwski.

Uprzedzamy o tem już teraz dla wcześniejszego zwrócenia uwagi na potrzebę zbierania na czasie celowych dat, już od nadchodzącego głównego sezonu 1935/36 począwszy.

W szczególności co do Pp. Delegatów powołujemy się także, w związku z powyższem, na postanowienie w regulaminie delegatów M. T. Ł. § 4 pkt. f), który sprawozdania, o jakich mowa, zalicza do obowiązków związanych z mandatem delegackim.

Z Wydziału
Oddziału Małop. Tow. Łow. w Krakowie.

Z Państwowej Rady Ochrony Przyrody

Dnia 13 sierpnia b. r. odbyło się w Zakopanem zebranie członków Państwowej Rady Ochrony Przyrody, poświęcone głównie rozważaniu spraw ochrony przyrody Tatr. Przewodniczący Rady, prof. Dr. Władysław Szafer, złożył sprawozdanie z działalności w ostatnim roku oraz zgłosił ustąpienie ze stanowiska Delegata Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego do spraw ochrony Przyrody i przewodniczącego Państwowej Rady Ochrony Przyrody, motywując swą rezygnację przedewszystkiem faktem nie zasięgania przez czynniki rządowe opinji Rady przed decyzjami dotykającemi bezpośrednio spraw ochrony przyrody (kolejka linowa na Kasprowy Wierch). Zebrani członkowie P. R .O. P. z żalem przyjęli do wiadomości powyższą decyzję Przewodniczącego i twórcy współczesnego ruchu ochrony przyrody w Polsce, wyrażając pełną solidarność z reprezentowanym przez niego kierunkiem pracy i ideologją. Decyzję co do dalszego ukształtowania się warunków pracy Państwowej Rady Ochrony Przyrody złożyli podpisani na ręce Pana Ministra W. R. i O. P., składając swe mandaty do Jego dyspozycji.

Pod deklaracją, skierowaną do p. Ministra W. R. i O. P. złożyli podpisy następujący członkowie Rady:

Prof. Dr. Seweryn Dziubałtowski (Warszawa), Prof. Dr. Walery Goetel (Kraków), Prof. Dr. Jan Grochmalicki (Poznań), Prof. Dr. Bolesław Hryniewiecki (Warszawa), Prof. Inż. Aleksander Kozikowski (Lwów), Prof. Dr. Stanisław Kulczyński (Lwów), Prof. Dr. Mieczysław Limanowski (Wilno), Prof. Stanisław Małkowski (Wilno), Prof. Dr. Jan Gwalbert Pawlikowski (Lwów), Prof. Dr. Michał Siedlecki (Kraków), Prof. Dr. Jerzy Smoleński (Kraków), Prof. Dr. Szymon Wierdak (Lwów), Prof. Dr. Adam Wodziczko (Poznań).



Kącik kynologiczny

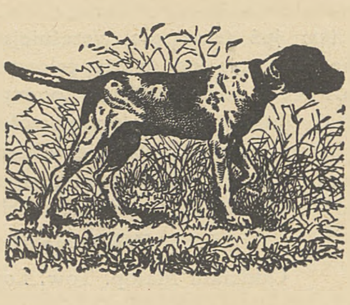
Powstanie Polskiego Związku Hodowców Psów Rasowych Oddział we Lwowie.

Lwowski Starosta Grodzki przyjął reskryptem z dnia 8 lipca 1935 L. B. P. 4/182/Stow./II/35 do wiadomości zgłoszenie powstania Oddziału we Lwowie, Warszawskiego Polskiego Związku Hodowców Psów Rasowych.

Kierownictwo Oddziału spełniać będą w charakterze Przewodniczącego p. Albert Mniszek, Wiceprezes M. T. Ł., w charakterze sekretarza p. Aleksander Ulm a w charakterze skarbnika p. inż. Tadeusz Sweryński, obaj członkowie Wydziału M. T. Ł.

Regulamin Oddziału oparty o statut Związku będzie podany do wiadomości w następnym numerze „Łowca". Obecnie zawiadamiamy, że terenem działalności Oddziału będą województwa południowo-wschodnie (lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie) a roczna składka członkowska wynosi 10 zł. która może być w dwóch półrocznych ratach wpłaconą. Prócz tego niema żadnych innych zobowiązań.

Zgłoszenia członków przyjmuje Kierownictwo Oddziału P. Z. H. P. R., Lwów, Ossolińskich 11, przy Małop. Tow. Łow.



Z Polskiego Związku Stow. Łowieckich

PROTOKÓŁ

posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 19-go lipca 1935 r.

Przewodniczył — p. Wacław Szperling, obecni byli pp.: red. Walenty Garczyński, dr. Ignacy Grymmiński, inż. Herman Knothe, Czesław Lisowski, gen. Stanisław Skrzyński, dyr. Andrzej Śliwiński; protokół prowadził Jerzy Bokiewicz.

Porządek dzienny obejmował:

1. Odczytanie protokółu posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 7 czerwca r. b.
2. Sprawy Delegatów Powiatowych.
3. Odznaczenia łowieckie.
4. Sprawy bieżące.
5. Wnioski.

Protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 7-go czerwca r. b. zatwierdzono bez zmian.

W łączności z protokółem, p. Lisowski zakomunikował, że wycieczkę celem zwiedzenia Stacji Doświadczalnej Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich do badania broni i amunicji myśliwskiej i sportowej w Rembertowie — można będzie zorganizować w sierpniu.

W sprawie wysuniętego przez Conseil International de la Chasse projektu ujednostajnienia oznaczania numeracji śrutu w nabojach myśliwskich postanowiono prosić pp. Lisowskiego i Garczyńskiego o porozumienie się celem opracowania projektu ewentualnego podjęcia przez Związek dalszej akcji.

Na wniosek Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, jako Oddziału Związku, mianowani zostali Delegatami Powiatowymi w województwie lwowskiem:

Gajewski Tadeusz, inż., Nowa Grobla, Korzenica,
Gross Marjan, wicestarosta, Jarosław,
Kisielewski Zygmunt, Radymno, Zadąbrowie,
Małkowski Tadeusz, inż., Sieniawa — wszyscy na powiat Jarosław.

Pismo Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego z dnia 4-go czerwca r. b. Nr. 344 w sprawie cofnięcia mandatów 16 Delegatom z obszaru działalności tego Oddziału — postanowiono przedstawić do decyzji Zarządowi Związku.

Po rozpatrzeniu wniosków o odznaczenia, Wydział Wykonawczy nadał:

Złoty Medal Zasługi Łowieckiej:

Mieczysławowi Lissowskiemu, Staroście powiatowemu w Tarnowie (Kr), — za wybitne współdziałanie w rozwoju łowiectwa;

Juljanowi Laskowiczowi, Delegatowi Związku na powiat Lida (Nw.), — za wybitną działalność ideową na polu łowiectwa.

Przyjęto do wiadomości podziękowanie p. Marszałkowej Piłsudskiej za telegram kondolencyjny.

Wydział Wykonawczy postanowił przedstawić Zarządowi Związku wniosek o złożenie odpowiedniej kwoty tytułem ofiary do dyspozycji Głównego Komitetu Uczczenia Pamięci Marszałka Piłsudskiego.

Ministerstwo Komunikacji powiadomiło Związek, że za przewóz psów koleją ustalona została opłata od sztuki w wysokości należności, przypadającej za przewóz 20 kg bagażu.

Treść pisma Ministerstwa Komunikacji postanowiono ogłosić w „Łowcu Polskim".

W łączności z konferencją, odbytą przez p. Wojewodę Lubelskiego dr. Rożnieckiego ze specjalnie wydelegowanym przez Wydział Wykonawczy p. sędzią Garczyńskim, p. Wojewoda zawiadomił Związek, że sprawę organizacji Związku Łowieckiego Województwa Lubelskiego postanowił odłożyć do czasu dokonania zmiany statutu Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

W dniu 30 czerwca r. b. zatrzymany został w powiecie łuninieckim woj. poleskiego łoś. P. Wojewoda Poleski polecił łosia tego zabezpieczyć i otoczyć opieką, a jednocześnie zawiadomił o tem Związek, któremu łosia oddał do dyspozycji.

Związek złożył p. Wojewodzie podziękowanie, łosia zaś przekazał Warszawskiemu Ogrodowi Zoologicznemu, o czem telegraficznie p. Wojewodę zawiadomiono.

Dyrekcja Ogrodu Zoologicznego natychmiast wysłała specjalną ekspedycję do Łunińca i łoś został w dniu 6 b. m. przewieziony do Warszawy.

Zarząd Ogrodu Zoologicznego złożył Związkowi podziękowanie.

Wydział Wykonawczy postanowił przedstawić Zarządowi Związku wniosek o przyjęcie Klubu Myśliwskiego Garnizonu Prużana w Koszarce k/Prużany (członków 21) w poczet Stowarzyszeń Związkowych.

Wielkopolski Związek Myśliwych wystąpił z wnioskiem o interwencję w sprawie odstrzału łań i sarn w lasach państwowych Dyrekcji Poznańskiej, dokonywanego masowo w lutym, marcu i kwietniu, przy użyciu naganki.

Wydział Wykonawczy uznał iż odstrzał łań i sarn, z uwagi na konieczność ilościowego zmniejszenia zwierzostanu, powodowaną względami ochrony lasów, musi być przeprowadzany; miesiące luty, marzec i kwiecień są terminem odpowiednim do odstrzału, używanie zaś naganki przy tego rodzaju polowaniu jest nieodzowne.

Opracowany przez Sekcję Ochrony Niedźwiedzia projekt regulaminu tej Sekcji postanowiono przedłożyć Zarządowi Związku do zatwierdzenia.

Wydział Wykonawczy postanowił zamieścić ponownie w „Łowcu Polskim" odezwę do myśliwych, aby poparli akcję tworzenia muzeum łowieckiego w Senlis przez ofiarowywanie pięknych trofeów.

P. Lisowski przedstawił Wydziałowi Wykonawczemu sprawozdanie z przebiegu prac w Komitecie Organizacyjnym Narodowych Zawodów Strzeleckich, Myśliwskich i Łucznych.

Postanowiono prosić p. Lisowskiego o opracowanie projektu memorjału w tej sprawie na najbliższe posiedzenie Zarządu Związku.

Grono myśliwych wysunęło projekt utworzenia przy Związku „Sekcji doskonalenia się w strzelaniu myśliwskiem i standowem"; zwołano zebranie organizacyjne i dokonano wyboru tymczasowego zarządu Sekcji w osobach pp.: dyr. Karola Kitzmana — jako przewodniczącego, Karola Czampego — jako zastępcy, i Sławomira Nałęcza — jako sekretarza oraz skarbnika.

Jednocześnie Delegaci Związku do Naczelnej Rady Strzelectwa w Polsce, pp.: Gędziorowski i Lisowski złożyli również wniosek o powołanie do życia przy Związu Sekcji Strzeleckiej.

Wydział Wykonawczy w zasadzie przychylił się do projektu utworzenia w ramach Związku „Sekcji strzelań myśliwskich i standowych", postanawiając wniosek w tej sprawie przedstawić Zarządowi.

Do udziału w pracach organizacyjnych Sekcji delegowano z ramienia Związku pp. Gędziorowskiego, Lisowskiego i prez. Szperlinga.

Tymczasowemu zarządowi Sekcji powierzono opracowanie w porozumieniu z Delegatami Związku — projektu regulaminu Sekcji, który przedstawiony zostanie do zatwierdzenia Zarządowi Związku.

P. Józef Kiszkurno nadesłał Związkowi do wiadomości odpis pisma swego do Komendy Głównej Związku Strzeleckiego w sprawie udziału w Międzynarodowych Zawodach Strzelecko-Łuczniczych w Brukseli.

Pismo to przekazano p. Lisowskiemu do zaopinjowania.

No posiedzeniu Wydziału Wykonawczego w dniu 17 maja 1933 r., na wniosek p. prez. Szperlinga, postanowiono stworzyć bibljotekę Związku i zapoczątkować muzeum łowieckie.

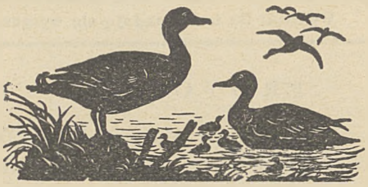
Obecnie p. prez. Szperling zgłosił wniosek o powołanie specjalnej Komisji, którаby zajęła się zorganizowaniem bibljoteki i zopoczątkowaniem muzeum.

Wniosek ten Wydział Wykonawczy uchwalił, powołując do Komisji tej pp.: inż. Knothego — jako przewodniczącego, kpt. Kobylańskiego — jako sekretarza, oraz Prus-Wiśniewskiego. Komisji pozostawiając prawo kooptacji.

Wydział Wykonawczy, na wniosek p. inż. Knothego, uchwalił zasadę, że członkowie Wydziału Wykonawczego, reprezentujący Związek nazewnątrz — obowiązani są składać sprawozdanie o wykonaniu powierzonych sobie funkcyj.

P. Marjan Chrzanowski ,wobec złego stanu zdrowia, złożył rezygnację z mandatu członka Zarządu Związku. Rezygnację tę postanowiono przedstawić Zarządowi.

Postanowiono wysyłać bezpłatnie 1 egzemplarz „Łowca Polskiego' pod adresem Liceum Krzemienieckiego, które wobec koniecznych oszczędności zrezygnowało z prenumerowania pisma związkowego.



Sprawy Towarzystwa

ODPIS PROTOKOŁU

z odbytego w dniu 5 lipca 1935 r., posiedzenia delegatów łowieckich P. Z. St. Ł. powiatu Rawa Ruska.

Obecni: Senior Kazimierz Wysocki, Wilhelm Hartwig, Stanisław Niemiński i Roman Pawlik. — Nieobecność usprawiedliwił Jan hr. Siemieński.

1) Przyjęto i podpisano protokół z dnia 14 marca 1935.

2) Przyjęto rezygnację p. Stanisława Niemińskiego z urzędu delegata, spowodowaną przesiedleniem się Jego do Warszawy. Senior w imieniu grona delegatów pożegnał p. Niemińskiego i podziękował mu za pracę podjętą dla łowiectwa w powiecie Rawa ruska.

3) Postanowiono prosić o nominację na delegata P. Z. S. Ł. pana Stefana Romera właściciela Wierzbicy.

4) Omówiono sprawę samorządowego podatku od polowania. Uchwalono zwrócić się do p. Starosty Hawrota, jako przewodniczącego Rady powiatowej w Rawie ruskiej, z przedstawieniem, że podatek taki nakładany przez gminy w maksymalnej wysokości (klasa III do 5 groszy od hektara) w obecnych czasach ciężkiego kryzysu, wpłynie ujemnie na interesy łowiectwa i na interesy odnośnych gmin. Obecnie koszta połączone z prowadzeniem racjonalnej gospodarki łowieckiej są ogromne a to: koszt dzierżawy łowiska przekraczający prawie zawsze przynajmniej pięciokrotnie wartości wyniku łowów, konieczności utrzymywania na 1000 ha przynajmniej jednego dozorcy polowania kosztem najmniej 180 złotych rocznie, premje za tępienie drapieżników i wnykarzy, przynajmniej 60 zł., — koszta polowania jednorazowego, 80 naganiaczy po 80 groszy i 6 podwód po 4 złote, — koszta amunicji (28 zł. za 100 naboi) przy cenie za jednego zająca 1 zł. 10 groszy, a 1 kuropatwy 45 groszy, spowodowały już, że musiano zmniejszyć liczbę dozorców, jakoteż zmniejszyć intensywność tępienia drapieżników. — Nawet ilość polujących zmalała, czego dowodem zmniejszona ilość wydanych kart łowieckich. Dalsze obciążenie łowiectwa doprowadzi do tego, że polować będą tylko ludzie bardzo bogaci, lub kłusownicy, bo kłusownicy żadnych kosztów nie ponoszą, też nie płacą i czynszu dzierżawnego. Dochody gminy zmniejszają się a łowiectwo rabunkowo eksploatowane, całkiem upadnie.

Już tutaj zaznaczam, że po posiedzeniu udałem się do p. Starosty, sprawę podatku od łowiectwa mu przedstawiłem, a postulat ten znalazł u p. Starosty, pełne zrozumienie i poparcie.

5) Stwierdzono, że w południowo wschodniej części powiatu jest stały ubytek dzików, zagrażający już zanikiem ich w tej części powiatu. Uchwalono zwrócić się do posiadaczy łowisk, gdzie dziki mają ostoję, albo są zwierzyną przechodnią, o dobrowolne — ale niezawodne powstrzymanie się od strzelania samur od 1 lipca 1935 do 1 lipca 1937 r.

6) Uchwalono zwrócić się do Wydziału M. T. Ł. o rychłe wyjednanie dla p. Starosty Hawrota w uznaniu Jego zasług około łowiectwa, złotego medalu, z tem że koszta poniesie gremjum delegatów.

Za zgodność z oryginałem poręcza

Senior delegatów P. Z. St. Ł.
Kazimierz Wysocki

PROTOKÓŁ

spisany na Zebraniu Delegatów Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego na powiat Kolbuszowa, odbytem w dniu 18 lipca 1935 r.

Obecni Pp.: Jerzy hr. Tyszkiewicz jako przewodniczący, oraz dyrektor Franciszek Dudek i inż. Węglowski Stanisław.

Porządek obrad: 1) Zagajenie, 2) wybór Senjora Delegatów, 3) podział powiatu na okręgi, 4) wnioski.

Zebranie zagaił P. Jerzy hr. Tyszkiewicz, poruszając sprawę należytego zorganizowania Delegatury Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego stosownie do jego życzenia na terenie powiatu Kolbuszowa, a to w celu roztoczenia skutecznej opieki nad łowiectwem i wszystkiemi jego agendami ,oraz skrupulatnego przestrzegania obowiązujących przepisów łowieckich, zwłaszcza czasów ochronnych.

Następnie przystąpiono do wyboru Senjora Delegatów, którym wybrano jednogłośnie Jerzego hr. Tyszkiewicza.

Podział powiatu pomiędzy Delegatów ustalono w następujący sposób: Okręg I. Gminy zbiorowe Kolbuszowa-Miasto i gminy zbiorowe Kolbuszowa Dolna i Kolbuszowa Górna. — Delegat inż. Węglowski Stanisław. — Okręg II. Gminy zbiorowe Cmolas, Dzikowiec i Majdan. Delegat Jerzy hr. Tyszkiewicz. — Okręg III. Gmina Miejska Sokołów i gminy zbiorowe Sokołów i Raniżów. Delegat Dyrektor Dudek Franciszek.

Powyższy podział powiatu na okręgi delegackie uchwalono przedłożyć Starostwu powiatowemu z prośbą o powiadomienie o nim i o wydanie odnośnych zarządzeń do wszystkich zarządów miejskich i wiejskich oraz posterunków Policji Państwowej.

Równocześnie uchwalono zwrócić się z prośbą do Pana Starosty o użyczenie Delegatom Łowieckim poparcia w ich czynnościach, oraz o współpracę z nimi i korzystanie z ich znajomości spraw łowieckich i terenu. Powiatową Radę Łowiecką zorganizuje się później. — Na tem posiedzenie zakończono.

Delegaci Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego

Inż. Stanisław Węglowski *Franciszek Dudek*
Jerzy hr. Tyszkiewicz

SPRAWOZDANIE KRAKOWSKIEGO ODDZ. MAŁ. T. ŁOW.

z posiedzenia Wydziału w dniu 3 lipca 1935 r.

Obecni na posiedzeniu prezes Adam hr. Starzeński, członkowie Wydz. Marjan Jagusiński, Stanisław Morawetz, dr. Jan Robel i Stefan Różecki. — Nieobecność usprawiedliwili wiceprezes dr. Adam Lardemer i czł. Wydz. dr. Józef Surzycki.

Przewodniczący Prezes, zagajając posiedzenie, zdaje pokrótce relację z osobistego udziału dnia 30 maja b. r. w Walnem Zgromadzeniu Małop. Tow. Łow. we Lwowie, zawiadamia przytem o niektórych zmianach w osobowym składzie Zarządu Centrali Tow. i wspomina również o odbytych we Lwowie zawodach strzeleckich. Następnie komunikuje o swym udziale z ramienia Państw. Rady Ochrony Przyrody w obradach na posiedzeniach Sekcyj ochrony łosia i niedźwiedzia przy Polskim Związku Stow. Łow. w Warszawie, o spodziewanej nowelizacji prawa łowieckiego etc.

Po przyjęciu protokołu z poprzedniego posiedzenia Wydziału z dnia 15 marca b. r., odczytano pismo z podziękowaniem p. Prezesa M. T. Ł. Juljusza hr. Bielskiego za złożone mu przez Ogólne Zebranie Oddziału gratulacje do odznaczenia francuskim krzyżem oficerskim Legji honorowej.

Rozpatrzono następnie różne wnioski członków postawione na dorocznem Ogólnem Zebraniu i wydano co do nich odpowiednie opinje wzgl. zarządzenia.

Wpisani zostali nowi członkowie: ppułk. inż. Stanisław Dziurzyński, Jan Głuszek, Kółko Łowieckie Biała-Lipnik, dyr. Stanisław Konopka, dyr. Jakób Lewakowski, prof. dr. Jan Olbrycht, doc. dr. Tadeusz Pisarski i Jan Stonawski.

Wkońcu przypominamy zalegającym z opłatą członkom wyrównanie ich wkładek dołączonemi do „Łowca" czekami P. K. O. **z konta naszego Oddziału Nr. 405.265.**

Z Wydziału
Oddziału Małop. Tow. Łow. w Krakowie.

TREŚĆ NUMERU 11:

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 6·— zł.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. — Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., ½ str. 60 zł., ¼ str. 30 zł., ⅛ str. 15 zł., 1/16 str. 7 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5, drzwi Nr. 44 (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej. Redakcja nie zwraca rękopisów już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty. — Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 218-59. — Oddział w Krakowie, ul. Kremerowska 12, P. K. O. 405.265.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Tel. Nr. 204-32.